

PION

CENA 50 GR

ROK VII NR 6 (279)

WARSZAWA

12 LUTEGO

1939 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

LUDWIK FRYDE — ODMIANY „POEZJI CZYSTEJ”
KONRAD WINKLER — WSPÓŁCZESNA SZTUKA BRITYJSKA
CZESŁAW MIŁOSZ — FILM O KANALE SUZKIM
HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA — MICHASIA OD WENDERÓW (II)
ZBIGNIEW POLANOWSKI — RUPIECIE I KLEJNOTY

Z. T. KRĘPSKI

ZIARNO GORCZYCZNE

Większość ludzi stanowczo szuka w chrześcijaństwie szerszego oddechu, stawia mu żądania szerszego zasięgu twórczości i wpływu, niż te, które cechują egocentryzm katolicyzmu Mauriaca¹. Te wymagania ludzkości są równie słuszne, jak — z drugiej strony — słuszna jest potrzeba odosobnienia u człowieka (pokusa celi). W rzeczywistości są to dwa tempa przyrodzone jego naturze (oba uwzględnione w religii Chrystusa): raz wymienne, to znowu mijane, które wtedy osiągają doskonałą jedność, gdy człowiek zaczyna dążyć do pełniejszej realizacji samego siebie.

Kiedy się biegnie za myślą tak katolickich, jak akatolickich i wręcz antychrześcijańskich pisarzy, dociera się może najpewniej do samej istoty chrystianizmu. Uderza nas wtedy, jak mało potrzeba, żeby ducha jego wypaczyć. Wystarczy, jeżeli odizolujemy część jego nauki od całości. Wystarczy chcieć ją realizować w świetle kilku starannie dobranych wersetów, aby się od razu stała nieżywcowa. Wszystko jedno w jakim sensie to wypadnie. Zwięzła w ten sposób i okrojona, nie potrafi już sprostać swemu zadaniu: regulatora w walce nadmiernie wybujałych przejawów życia. Gorzej nawet, bo wyda się stekiem balamutnych antynomii. Ale są jeszcze ludzie wierzący w niewyczerpane źródła odrodzenia, jakimi rozporządza chrześcijaństwo. Ci patrzą na wyrabianie sumienia w pojedynczych jednostkach, jak na konieczny zaczątek zbiorowej odpowiedzialności. Niemniej dla nich — skoro życie podlega prawu rozwoju — jakże teren religii miałby być spod niego wyjęty. Plastycznie wyrażają to dwie przypowieści: o ziarnie gorczycznym i o zaczynie kwasu. W takim (podwójnym) oświeceniu nawet egocentryzm ustępów z Ewangelii — tak bliski Mauriacowi — wersty dotyczące wyłącznie obowiązku człowieka względem własnej duszy, koncentrując jego energię w nadzorze nad własną doskonałością, zawierają pierwiastki dynamizmu. Mają znaczenie pojedynczych cegieł, wypalanych w ogniu, pod fundament olbrzymiej poręki, której ciężar obowiązuje każdą ludzką jednostkę. Poręki ogólnoludzkiej za dobrą wiarę w służbie wszystkim wartościom życia: czasowym i pozaczasowym.

Ktoś słusznie powiedział, że wielki już czas dzisiaj „skierować uwagę od podmiotu do przedmiotu”, że trzeba się tego domagać od chrześcijańskiego świata. Chrystianizm musi zdać zbiorowy egzamin z odpowiedzialności sumień, „które przez wieki szlifował i hartował”; musi na nowo przekonać siebie — za pomocą faktów dokonanych — a dowieść tym, co mogą o tym wątpić, że skarb Ewangelii nie wyczerpuje się, że każdy „dobry gospodarz” może dziś i jutro i

zawsze wyjmować z niego kolejno „rzeczy stare i nowe”, zależnie od potrzeb ludzi i epok — od potrzeb każdej współczesności. Chrześcijańskie kościoły Zachodu (a wśród nich najgłośniejsi przedstawiciele Kościoła katolickiego) domagają się od dziesiątków lat od swych wyznawców odnowienia metod pracy, zrozumienia dla nowych form życia, które nie czeka; wejścia w żywy kontakt z potrzebami i psychiką nowego człowieka.

Już począwszy od końca XIX wieku w pierwszych przemówieniach arcybiskupa Irlandii, w literaturze katolickiej — głównie niemieckiej — rozbrzmiewa mocny ton przeciwko zanikowi chrześcijańskiego aktywizmu. Ale najcięższy zarzut uczynił katolikom Pius XI. Wyrzucił im, że — dzięki ich opiekałości, egoizmowi i wygodnictwu — Kościół utracił zaufanie świata robotniczego. I pomyśleć, że to się stało w wieku encykliki *Rerum Novarum*, wielkiej akcji społecznej biskupa Kettelera w Niemczech, hr. de Mun we Francji, w okresie nawolowań arcybiskupów Gibbona i Irlandii w Stanach Zjednoczonych do porzucenia starych, wydeptanych traktów i zużytych szablów. Nie brakło zatem XIX wiekowi ani zapalonych i przewidujących kierowników katolickiego ruchu, ani katolickich pracowników we wszystkich dziedzinach życia, *ale masowego ruchu odrodzenia nie było*. A może ci sami przywódcy odezwali się za późno? Szukali oliwy do lamp, kiedy inni już lampy pozapalali? — Życie nie znosi maruderów.

Ale czemu się to stało? I dlaczego dalej dzieje się tak samo? Stoimy przed zagadką, którą koniecznie należy sobie wyświetlić. Zapytajmy historii. Ona nas upewni, że nie było łatwiej z gruzów rozbitego Rzymu, z wędrowek barbarzyńskich narodów wyprowadzić wielkie Średniowiecze, że właśnie dynamizm wewnętrznego życia, wiara w duchową potęgę posiadanej „prawdy” rzuciły pierwszych apostołów najwcześniejszego średniowiecza w objęcia przeszłości, towarzyszących każdej rekonstrukcji i odrodzeniu.

Gdy się nad tym odległym historycznym zjawiskiem zastanowić, nie podobna wprost pojąć, w jaki sposób bezbronni wędrowcy, roznosiciele niesłychanej „nowiny” o wcielaniu Boga w człowieka, a zarazem kultury starego Rzymu, znaleźli punkty styczności z pierwotnym elementem ledwie osiadłych barbarzyńców. Jak ci świeżo upieczeni apostołowie, jak pierwsi mnisi benedyktyńskiego zakonu (ludzie celi!) potrafili obejść pieszko dziewicze przestrzenie Europy, przedrzeć się przez jej ostępy, chrząc, ucząc pacierza, alfabetu, pisania — a zarazem karczowania puszczy, osuszania bagien i uprawiania roli. Później — przez niespełna dwa wieki i przy niezamordowanym ich współdziałaniu — układały się nowe stosunki przeobrażającego się świata. Pierwsze zarysy ustroju Europy, wylaniającej się z mgła-

wicy dziejów, spoczywają dotąd w archiwach starych opactw benedyktyńskich.

Ale zaczęło się to nader skromnie. Widzimy czarnych zakonników, wyruszających garstką za garstką w dziki, nieznany im świat „bez tajstry, chleba, ani pieniędzy w trzosie” — na samą wiarę słów: „bo godzin robotnik swego pożywienia”.² Młode rasy wydają przez typ apostołów. Ich już nie prześladowuje myśl o bliskiej „paruzji”, która w zaraniu chrześcijaństwa — na Wschodzie — groziła wykojeniem, która, odwracając masowo pierwszych chrześcijan od życia i zaludniając nimi pustynie, zbliżała pomału chrześcijańską ascezę do typu ascezy buddyjskiej. A co najważniejsze: lęk przed mściwością Jehowy — wypiełgowany u Żydów przez proroków — nie wależy już o lepsze na Zachodzie z nowym zakonem „miłości”. Duch grozy ustąpił miejsca gorącemu uczuciu wdzięczności. Pierwsi pionierzy chrześcijańskiej Europy wyszli na duchowy podbój barbarzyńców w przeświadczeniu, że „prawda”, jaką posiadli, nie jest ich wyłączną własnością, że muszą nią obdzielić — bez wyjątku — wszystkich ludzi.

To wczesne chrześcijaństwo Europy rozwijało się po czystej linii „Modlitwy Pańskiej” — wyciągało z pierwszego wersetu „Ojcie Nasz” pełnię jego społecznego znaczenia; stąd prężność, jakiej dało dowody. Czy nie wolno przypuszczać, że z samej tajemnicy Wcielenia (Bóg i człowiek w jednej osobie) — wylaniał się dla tamtych ludzi głęboki sens innego jeszcze dualizmu: podwójnej natury samego człowieka, z całym bogactwem swych konsekwencji. Wyczułi, że tak jak nie podobna wyznaczyć linii demarkacyjnej między duszą i ciałem — tak samo nie podobna rozdzielić w człowieku życia wewnętrznego od czynnego, bez okaleczenia samego życia i bez osłabienia wpływu chrześcijaństwa na bieg historii odradzającego się świata.

Na tym podłożu wyrastało w nich poczucie ważności gromady ludzkiej, wraz z potrzebą społecznej modlitwy. Prywatny kult odosobnionej jednostki wydawał się już niekompletny. Za słaby? — czy zbyt ciasno pojęty? Obok niego powstała „Liturgia”. I dopiero, gdy wypełni kościoły jednobrzmiącą melopeją głosów świeżo nawróconych tłumów, zadość uczyni pragnieniu wspólnej modlitwy, która, w pojęciu tych mas, zdolna jest „przebić Niebo”. Ale z czasem i to nie wystarczy rosnącej gorliwości dusz, że objęła sobą cały świat widzialny. Sięgnie szerzej i wyżej, aż wcieli w życie dogmat „świętych obcowania” i każe mu zakwitnąć świętem „Zaduszek”.

Taki był duchowy klimat Europy przed pierwszym „millenium”; prężny wszech-

² Czy nie uderza to proste zapewnienie sprzed 2000 lat dziś, wśród srożącego się bezrobocia?

stronną twórczością na zewnątrz — potężniał wewnętrznym tętnem. Był to może jedyny moment w historii najbliższy pojęciu „życia”, w znaczeniu jakie mu nadawał Chrystus — z którym identyfikował siebie — życia bez reszty, w znaczeniu pełni. Chrystus sam nigdy od życia nie odszedł — przeciwnie: „przyszedł puścić ogień na ziemię”.

Chrześcijaństwo tamtych czasów pragnęło namiętnie niecić dalej ten ogień. Było ambitne, niestrudzone, dążyło do wszechstronnej realizacji, do nie ograniczonego zasięgu. Zdawało się tworzyć, rozrastać, pod hasłem trzech wersetów z XIII Rozdziału świętego Marka. Chrystus powiada tam o Ojcu swoim: „Jak człowiek, który odjechałszy precz, zostawił dom swój i dał sługom swoim władzę nad każdą robotą swoją, a wrotnemu kazał, aby czuł. Czujcie więc...”

Zamykając ustęp o końcu świata, te wersty nabierają podwójnej jasności i wagi. Sens ich nie może być wątpliwy. *Cal-kowitą odpowiedzialność za gospodarke ziemską, a tym samym za oblicze historii, Chrystus złożył na ludzi*. W takim ujęciu życie żadnych ugorów nie toleruje, tym mniej dziedzin leżących odlegiem. Sam zresztą fakt istnienia i życia i człowieka innego sensu, innej konsekwencji przyjąć nie może.

W moich uwagach o Mauriacu przedstawiłem tendencje egocentryczne we współczesnym katolickim piśmiennictwie francuskim, w dzisiejszym zaś artykule — teocentryzm początkowego okresu wieków średnich.

Przyznaję, że uprościłem sobie zadanie na przykładzie Mauriaca. Ale przykład był zanadto typowy — pokusa posłużenia się nim za silną; przy czym w miarę pisania, Mauriac — w mojej koncepcji — urastał do znaczenia symbolu. Bo Mauriac we Francji nie jest — w swej tendencji — pisarzem odosobnionym. Te same przeważające cechy surowej introspekcji można w różnym stopniu odnaleźć u wszystkich tamtejszych autorów katolickich, ludzi wielkiego talentu i wszechstronnie przemyślanej religii, którą wyznają i praktykują konsekwentnie. Niemniej — w czasach obecnego przełomu i krwawych walk o losy chrześcijańskiej cywilizacji — są to, powiedziałbym, pisarze o charakterze gabinetowym, którzy współczesną burzę przekonani przeżywają między kłęcznikiem a biurkiem, załamani w sobie na wewnątrz, zapatrzeni w typ doskonałości człowieka, odpowiedniejszy dla czasów pokoju, niż w okresie burzy.

Zupełnie inaczej w Niemczech. Gdyby nie szczupłość rozmiaru zwykłego artykułu, mógłbym się powołać na znakomite nazwiska wielu tamtejszych autorów. Powojenna literatura katolicka w Niemczech zawsze mniej uderzała pogodnym teocentryzmem.

¹ Por. „Egocentryzm Mauriaca” w poprzednim numerze *Pionu*.

zwróconym do czynnego życia: dawała mi wrażenie lotu skrzydeł, szeroko rozpostartych ponad całą ziemią. Wymieniłem tylko dwóch czołowych przedstawicieli tego kierunku, profesorów Romana Guardini w Berlinie i Rademachera z Bonn.

Aby uniknąć cienia nieporozumień, podkreślam to co już powiedziałem przedtem, że oba kierunki: *introspekcji i aktywizmu* — nie mogą się wzajemnie wykluczać. W religii — jak w każdej twórczości — trzeba zapadać w siebie głęboko. Na to są i służą ku temu okresy odosobnienia, konieczne nawet dla aktywistów. Bez tej ascezy nie byłoby ani twórców, ani twórczości. Chrystus odchodził na modlitwę „na miejsca puste”. Ale obowiązuje religię jeszcze inne prawo życia, równie konieczne: prawo przystosowywania się do warunków. Jakież inne znaczenie miałyby mieć słowa Jezusa o rzecach starych i nowych, które dobry gospodarz wyjmuję ze skarbu Ewangelii? Albo tylokrotnie zapewnienia katolickich teologów, że życie Kościoła — obsłużone przez ludzi — nie jest i nigdy być nie może czymś ostatecznie wykończonym, zamkniętym, doskonałym.

Takie stanowisko teologii — w konsekwencji — wymaga ciągłego wekslowania taktyki Kościoła. O jej kierunku rozstrzygały zawsze zwrotnice czasu. Oportunizm zaś pedagogii Kościoła polegał — z jego strony — na wysuwaniu kolejno na plan pierwszy bardzo różnorodnych uzdolnień człowieka, na wygrzaniu tych czy innych władz ducha ludzkiego. Słowem, mądrość Kościoła potrafiła wyzyskiwać na przestrzeni wieków wszystkie bogactwa ludzkich temperamentów, stosownie do potrzeb czasu, a nawet chwili. W ten sposób utrzymywała się długo — w społeczeństwach katolickich — względna równowaga między religią a życiem. Dziś została ona przerwana. Przyczyną tragicznego rozdźwięku — między oboma — sięgają daleko wstecz i są wszystkim zanadto znane, aby je tu powtarzać. Nas — w tym konflikcie — obchodzi tylko jedno. *Mdły opór*, który chrześcijaństwo stawilo — przez dwa ostatnie wieki z górą, nawarstwianiu się materializmu. Jako rezultat, świat katolicki stanął bezradny wobec kursu przemocy: przed gloryfikacją panowania brutalnej siły wszelkich odcieni.

Wprawdzie głos żyjącego papieża odezwał się z niedwuznacznym protestem. Ale istota współczesnego dramatu tkwi jeszcze w czym innym. Rodzi się w ludziach zapytanie, czy dzisiejsi katolicy są odpowiednio uzbrojeni do zapóźnionej walki, jaka ich czeka, o prymat religii w życiu i w moralności społeczeństw? Czy zachowali prężność, aktywność i odwagę czynu tego rodzaju postaci, co Bernard z Clairvaux, Wincenty Ferreriusz, Katarzyna Sjeneńska i tulu innych przedstawicieli *waleczności* chrześcijańskiej? Chrystus miał na myśli tę ciężką walkę, gdy wyrzekł: „*Nie mniemajcie, że bym przyszedł puszczać pokój na ziemię. Nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz*” (Mat. X. 34). Chrystus przewidział z góry całą jej dzisiejszą zaciekłość: „*będzie ich pięciu w jednym domu — rozdzielonych przeciwko sobie; dwaj przeciwko trzem. Oddzieli się: ojciec przeciwko synowi, a syn przeciwko ojcu, matka przeciwko córce*” (Łuk. XII. 52, 53). W tych słowach przepowiada Chrystus walkę o najwyższe wartości ducha człowieka, w której On pierwszy poniósł śmierć.

Życie nigdy nie miało oblicza pokoju. Ilekroć przywdziewa jego maskę — to tylko pozór, objaw obłudy i zakłamania, za którymi ukrywa się zwykle morze oniemiałej strachem krzywdy, lub kwiaty zadawnionego lenistwa. Złoty wiek należy do zmechanizowanych dezyderatów ludzkości, nie do jej wspomnień. Pokazałem w drugiej części tych rozważań, jak w chwili równie groźnego przełomu *odnowiło* i uratowało Europę chrześcijaństwo, jak w warunkach o wiele cięższych podbił ją i porwał duch ryzyka jej rodzimych apostołów: nieobliczalna zachwalność młodej świętości. Zuchwałość i fantazja młodzieńczego zapału, niezdolnego przypuścić, żeby mógł kiedykolwiek nastąpić czas zmiernych ufności. Główny powód dzisiejszego nienadania katolicyzmu za duchem czasu leży głęboko ukryty. Według mnie, w samo sedno sprawy uderzył prof. Rademacher, kiedy pisze: „*Program ascezy człowieka czynu nie został jeszcze spisany. Natomiast program wyrzeczenia się świata może się powołać na olbrzymią literaturę i na metody wypracowane do najdrobniejszych szczegółów*”.

A przecież nie było nic łatwiejszego, jak oprzeć kodeks czynnego życia o treść tamtych wersetów Marka, których *nigdy, nikt* nie przytacza. Głucho o nich wszędzie. Nawet dziś — w epoce rozpętania wszystkich aktywizmów — nie wysuwa się ich bezapelacyjnego autorytetu na korzyść aktywizmu chrześcijańskiego. Miałyby się o-

chotę zakrzyknąć — jak w przeddzień nowej krucjaty: „*Dieu le veult*”. Tymczasem wygląda tak, jak gdyby — złożone ze złości na dno cedrowej skrzyni — te wersetki zostały skazane przez ogół i pisarzy i kaznodziejów katolickich na wieczną niepamięć. Sprawa ich ekshumacji staje się palącą, i równie pilne zestawienie z nimi innych słów Chrystusa: „*Ojciec mój dotąd działa i ja działam*” (Jan V, 17). Koroną zaś obu jest nakaz: „*Bądźcie wy tedy doskonali, jak i Ojciec wasz Niebieski doskonały jest*” (Mat. V, 48).

Program chrześcijańskiego czynu nie potrzebuje wymowniejszych legitymacji, choć Ewangelia dostarcza ich o wiele więcej. Samo przykazanie „*miłości bliźniego*” — „*nad które nie masz większego*” (Marek XII, 31) — wymaga od człowieka nieustannie czynnej postawy. Surowy sąd nad zakopanym „*talentem*”, odznaczenie tych, co talenty sobie powierzone „*wiernie*” wyzyskali, wreszcie zawrotna obietnica Jezusa: „*Kto wierzy we mnie — uczynki, które ja czynię, i on czynić będzie i większe nad te czynić będzie*” (Jan XIV, 12) — świadczą o ścisłym związku „*nauki życia*” z życiem czynu, w myśli jej Założyciela.

Na podstawie wspomnianych tekstów musiałaby nastąpić rychła *readaptacja* metod katolickich do wymagań moralnych, jakie życie współczesne stawia ludziom. Pier-

wiastek czynu zawarty w nauce Chrystusa nie wyzyskiwany od dawna w całej pełni, trzymany za długi w cieniu — oto co przyprawiło Kościół o nieobliczalne straty w umysłach i przekonaniach całych warstw społecznych. Ucierpiał na tym i popularny wykład doktryny³; osłabła zdolność przystosowania się do nowych kierunków myśli ludzkiej, którą Kościół posiadał w tak wysokim stopniu w erze młodości i wielkich epokach rozkwitu. Ale i zainteresowanie świata musiało osłabnąć dla religii, która, zachowując zazdrośnie monopol kształtowania i sublimacji sumień, nie potrafiła ich pobudzić do większej aktywności na zewnątrz, przeoczyła palące postulaty czasu — *and last not least*: nie położyła — w swym nauczaniu — bezwzględnie nacisku na obowiązek pracy równy dla wszystkich. Kładąc kamień węgielny powszechnego obowiązku *pod jedyną pozytywną podstawę równości ludzi*, Kościół byłby sobie zapewnił dominujący głos w wielkim sporze społecznym, który po wielkiej wojnie rozbił na dwa obozy politykę narodów.

Niestety, przez półtora wieku przepływały obok chrześcijańskiego świata najważniejsze interesy ludzkości: całe kompleksy

³ Dowodem — monotonia i anemiczność kazań, częste skargi na bezduszność nauki religii, na jej ducha zakrzepłego w paragrafach.

ŻYCIE LITERACKIE

MARIA CZAPSKA

Przed kilkoma dniami została — jak wiadomo — przyznana nagroda *Wiadomości Literackich*; przypadała ona w udziale Marii Czapskiej za książkę *Ludwika Śniadecka*. Warto przypomnieć czytelnikom polskim, że Czapska jest autorką francuskiej książki o Mickiewiczu, napisanej kla-



MARIA CZAPSKA

rowną i pełną prostoty francuszczyzną; przedmową poprzedził ją Drieu la Rochelle. Książka ta stanowi rodzaj powieści biograficznej, ale opiera się na gruntownej wiedzy źródłowej, cechującej i inne prace Czapskiej. Z książki o Mickiewiczu wiąże się szkic pt. *Kowieńska Wenera*, wydrukowany w *Drodze*; rzuca on ciekawe światło na czasy belferki Mickiewicza w Kownie i tajemniczy do niedawna romans poety z małomiasteczkową pięknością.

Autorka *Ludwika Śniadeckiej* prowadziła w swoim czasie ożywioną działalność krytyczną i publicystyczną i była przez pewien czas sekretarką *Pamiętnika Warszawskiego*, w okresie redakcji L. H. Morstina. Obecnie od biografii bohaterki *Godziny myśli* odrywały ją tylko liczne prace przekładowe: spod jej pióra wyszło m. in. doskonałe tłumaczenie *Vie de Jésus* Mauriac'a.

O *Ludwice Śniadeckiej* zamieścimy wkrótce obszerniejszy artykuł.

PISARKA PRZECIW PISARCE

W krótkim czasie po ukazaniu się książki Kazimierzy Iłkiewiczówny pt. *Ścieżka obok drogi*, Maria-Jehanne Wielopolska ogłosiła broszurę, wymierzoną przeciw autorce *Placzącego ptaka*. Wielopolska pisze: „*Pani widziała wszędzie siebie i tylko siebie, swój interes, swój snobizm, swoje imponowanie ludziom, swoją karierę*

urzędniczą, swoje awanse. Reszta — blaga, i to blaga *pośledniejszego gatunku*, podana ze śmiesznością i niesmaczną emfazą”. Jak z tego można wnioskować, wystąpienie autorki *Kryjaków* nie ma charakteru literackiej oceny *Ścieżki obok drogi*, lecz jest bezpośrednim atakiem osobistym.

Jeśli Wielopolskiej idzie istotnie o kult dla pamięci Marszałka Piłsudskiego, o rzetelny stosunek do jego wielkości — celu swego nie osiągnęła, gdyż broszura jej przez swój gwałtowny, nie przebiegający w środkach styl i stosowanie wyłącznie argumentów *ad personam* raczej odstrasza czytelnika, zainteresowanego *problemem*. Wysoce niestosowne wydaje się nam także zapożyczenie tytułu broszury z tekstu tak bezwzględnie zaatakowanej poetki, by go metaforycznie zwrócić przeciwko niej samej. Najprzykrejszym jednak faktem, związanym z broszurą Wielopolskiej, jest rezonans jej w kołach, które bez rewerencji odnosiły się do Piłsudskiego i bez życzliwości do bliskich mu — pracą czy przyjaźnią — ludzi. Koła te mają dziś widowisko, mają nie lada uciechę ze sporu dwóch pisarek, który jest sporem dziwnym bo jednostronnym. Stanowczo: broszura Wielopolskiej nie tylko nie obroniła kultu wielkości Piłsudskiego przed „*egocentryzmem*” Iłkiewiczówny, lecz przeciwnie: zaszkodziła mu. Odpowiedzialność za tę całą nieprzyjemną awanturę literacką spada na Wielopolską — bardzo nad tym ubolewamy.

NOWA NAGRODA P. A. L.

Z darowizny prywatnego mecenasa Polska Akademia Literatury utworzyła nową nagrodę, która ma być przyznawana corocznie. Statut jej został już opracowany: gremium akademików wieńczyć będzie nią książki, pisane piękną polszczyzną. Ten pomysł Akademii budzi sporo zastrzeżeń. Pojęcie „*pięknej polszczyzny*” nie daje się tak precyzyjnie określić, jak np. pojęcie „*pięknej francuszczyzny*” we Francji: tam „*piękna francuszczyzna*” — to taka, która dzięki swemu słownictwu i strukturze składniowej uwypukla starą łacińską genealogię języka francuskiego, przechowaną w żywej, nie przetrwanej i czystej tradycji. A u nas — czy „*piękna polszczyzna*” będzie język Skargi, Paska i Krasińskiego, czy po prostu język gramatycznie, syntaktycznie a także stylistycznie poprawny — bez obcych, nie przyswojonych przez tradycję naleciałości, bez neologizmów, bez subiektywnych odchyleń ekspresyjnych? Nie wiadomo.

Po wtóre: piękna (czy ściślej: poprawna) polszczyzna jest tym minimum, którym musi się wykazać każdy człowiek piszący, by móc uchodzić za pisarza. Po cóż to minimum podnosić do rangi zasługi, cnoty godnej nagrodzenia? Raczej należałoby nagradzać książkę lub pisarza *za styl* — indywidualny, osobliwy, odkrywczy, imponujący siłą wyrazu czy prostotą użytego tworzywa językowego, nie oceniony odpowiednio przez ogół dla zawilosci intencji artystycznych, itp. Jeśli regulamin nowej nagrody P. A. L. był uzależniony w pewnym stopniu od decyzji darczyńcy — trzeba było może nakłonić go, by warunek zmienił, przemówić mu do przekonania, wskazać na hierarchię walorów literackich... Ale teraz — „*mądry Polak po szkodzie*”.

krzywd, i zagadnień społecznych i kulturalnych, — ale rozwiązywali je inni. Nie ponoszą za to winy wiele nowoczesni papieżę, ani pojedyncze głosy chrześcijan, których kilku wymieniałem uprzednio. To masa podkomendnych *wszystkich stopni* wykazała tępy bezwład. Nie mam zamiaru przeczyć, że na ten stan rzeczy złożyły się walne powody natury historycznej, psychologia samego człowieka; wynalazki techniki, olbrzymie możliwości materialnego rozwoju, którego pokusom uległy — wraz z innymi — wszystkie społeczeństwa katolickie. „*Serca ich zatyły*” — na równi z sercem całego świata. Niemniej dziś — dla miłości prawdy, która każe mówić: „*tak, tak — nie, nie*”, *cały świat chrześcijański* musi odważnie przyjąć na siebie część pomyłek i popełnionych błędów. Otóż, powszechnym błędem okazało się nierówne wywyższanie wymagań stawianych człowiekowi przez Chrystusa.

Laik — bez teologicznego przygotowania, skracam sobie drogę do konkluzji. Wyszukane przeze mnie argumenty będą tylko pierwszoplanowe, bezpośrednie, te mianowicie, które mnie od wielu lat uderzały swoją oczywistością i dokoła których nieustannie krążyłem myślą: argumenty wypływające z poprzednich przesłanek. Przyjmując za nie wyłączną odpowiedzialność na siebie.

Na pierwszy plan wysuwa się dla mnie zawsze sprawa tekstów. Pomijam fatalny obyczaj (w słowie i piśmie), który należałoby utracić — bezkrytycznej szermierki cytatami z Ewangelii, raz w obronie własnych tez i przekonań, to znów dla przeciwstawienia zdaniu przeciwnika rzekomo bezapelacyjnego argumentu. Chodzi o rzecz daleko większej wagi: o bardziej krytyczną kontrolę nad tym: a) w jakich okolicznościach Chrystus się wypowiada? — b) do kogo mówi? — c) kim jest człowiek, do którego się zwraca? — d) jakie dany człowiek posiada znaczenie w świeckiej, bądź duchowej hierarchii wartości? — e) *do czego Chrystus go powołuje?* — Dalej: f) czy poszczególne rady albo nauka ma charakter ogólny, czy też stosuje się do pojedynczej osoby lub faktu?⁴

Chodzi też o konteksty, o ich rolę uzupełniającą znaczenie wersetu — niezależnie od odległości, w jakiej werset i kontekst znajdują się od siebie. Wewnętrzna łączność między nimi jest konieczna, tak samo jak konieczna jest łączność każdego ustępu — nie tylko z duchem całości nauki, nie tylko z istotą posłannictwa Chrystusa, ale jeszcze z pojedynczym zdarzeniem, które z gruntu może zmienić sens zdania. Niestety często naciąga się Ewangelię wedle osobistych upodobań, chce się ją poddać sobie, a nie dostosować do niej. (I o tym trzeba pamiętać, że nieraz u Chrystusa przypowieść i gest dopełniają się wzajemnie).

Dopiero taki dociekliwy i subtelny rozbiór ścisłego znaczenia każdego tekstu do wiedzy, jak poczesne miejsce w życiu czynnym Chrystus wyznacza swoim wyznawcom. W ten sposób zapobiegnie się w przyszłości traktowaniu Ewangelii w czambuł. Zetrze się z niej piętno nauki niezyciowej, skierowanej wyłącznie ku modlitwie, wyrzeczeniu, kontemplacji, introspekcji sumień. Religii egoizmu duchowego — paralizującej każdą żywą reakcję człowieka obowiążkiem rezygnacji, biernego poddania się *przypuszczalnej* woli bożej.

W mniemaniu większości inteligencji współczesnej integralny katolik powinien tylko prosić, aby Pan Bóg sprawy świata laską swoją prowadził, on zaś sam nie pielegnować jedynego swego obowiązku: zbawienie własnej duszy. Fantazjowanie na ten temat szasło nawet tak daleko, że spotykamy dziś jednostki wśród inteligencji, które uważają katolicyzm za namiastkę tego, czym Chrystus w rzeczywistości chce mieć chrześcijaństwo: za zrzeczny „*rymski*” kompromis, godzący życie czynne z duchem Jego mistycznej, niezyciowej nauki. Miałyby się ochotę zapytać tych ludzi, po jakiego diabła znalazł się na ziemi człowiek, odsunięty od czynu, nie powołany do współpracy w dziele życia — i to z woli Założyciela religii, będącej jednym hymnem na chwałę Stwórcy: „*który dotąd działa*” i dany jest nam za wzór jedynej istniejącej doskonałości.

W słynnych swych kazaniach w Notre Dame Lacordaire, jeden z pierwszych, wytknął światu chrześcijańskiemu ciężkie winy, które spowodowały rozwód między religią — a życiem. Oto rada wyjęta z pism wielkiego dominikanina: „*Nie troszcz się tyle o zbawienie własnej duszy, ale troszcz się o zbawienie świata — a zbawisz swoją duszę*”.

Z. T. KRĘPSKI

⁴ Nie zapomnijmy, że do Chrystusa miał dostęp każdy i że On do każdego dostosowywał swoją odpowiedź.

LUDWIK FRYDE

ODMIANY „POEZJI CZYSTEJ”

I

Dociekania nad wartością artystyczną utworów poetyckich są w obecnej chwili zajęciem niemodnym, niepopularnym i nawet w pewnej mierze niebezpiecznym. Nie darmo przed kilku laty stwierdzał surowy *Marcholt*, że od „formalizmu” do bolszewizmu krok tylko jeden. Nie darmo Stanisław Piasecki piorunował na „żydowskie kiperstwo” i „oszustwo t. zw. poziomu” w krytyce literackiej. Ostatnio zaś p. Alfred Łaszowski, istnie wcielenie obrażonej niewinności, terroryzuje warszawskich literatów, grożąc zdemaskowaniem ich rozpustnego życia.

Opinie wyżej wymienionych autorzytów daly skutek, na który nie trzeba było czekać. Żaden krytyk nie ma ochoty narażać się na miano bolszewika, żydowskiego kiperka lub siewcy zgorzenia. To też kiedy na miejsce grasującej w swoim czasie mody na tromtadrację „proletariacką” w poezji, zaczyna się moda na równie natrętą i arogancką tromtadrację nacjonalistyczną, nie odzywa się głos rozsądku, nikt nie nawołuje do trzeźwości i opamiętania. Teror okazał się metodą skuteczną.

Niczego tak bardzo nie znosi wszelka półinteligencja jak „czystej poezji”. Tu bowiem wchodzi w styczność z wartościami, których nie można tak łatwo opanować jak opanowuje się wpływo stanowiska i intratne posady. Trzeba mówić o „czystej poezji” w cudzysłowie, bo doprawdy idzie tu bardziej o nazwę niż o rzecz. O nazwę, która w wielu ustach brzmi jak szyderstwo.

„Czysta poezja”. Słowo to nie ma odpowiednika w świecie realnym. Jest ono pojęciem granicznym. Każdy utwór poetycki, rozpatrywany z pewnego punktu widzenia, ucieleśnia jak gdyby ideę artystyczną. Idea ta w stanie abstrakcyjnym, „czystym”, równoznaczna jest z czystą poezją. Oznacza ona tedy doskonałą realizację norm idealnych, jakie przyświecają artyście; oznacza poezję jak najbardziej zbliżoną do swej zasady duchowej, jak najmniej skażoną przez domieszki nie organiczne, które dołączają się przy robocie.

Przy określeniu „poezji czystej” należy uwzględnić czynnik negatywny: „czysta” — od czego? Przeprowadzając granicę między ideą artystyczną a pozostałą sferą rzeczywistości trzeba zdefiniować to, co artysta uważa za „nie-poezję”, za prozę, element obcy, który pragnie wykluczyć ze swego dzieła.

Pojęcie „czystej poezji” jest wieloznaczne. Nie tylko formy artystyczne są zmienne, ale zmianie podlega także zasada kształtująca sztukę. Czym innym jest sztuka w poczuciu i świadomości różnych artystów, okresów, środowisk kulturalnych. I co innego dla środowiska, okresu, a nieraz i dla pojedynczego artysty stanowi ideał — czystą poezję właśnie. W dobie obecnej ideał ten występuje w trzech głównych odmianach.

II

Odmiana pierwsza, charakterystyczna dla pięknego wczoraj poezji polskiej i europejskiej, ma jako psychologiczny punkt wyjścia *postawę kontemplacyjną*. Z kontemplacji natury, z nacylaniania się w niepochwytne i ulotne stany duszy, zrodził się ideał symbolistów, powstała liryka łowiąca najłżejsze drgnienia psychiczne, przeczucająca jedności duszy człowieka i duszy świata.

Język tej liryki, oderwany od mowy potocznej, tajemniczy, czasem dziwny, dąży do hermetyzmu. Zamiast nasuwać jasne wyobrażenia rzeczy oznaczanych przez słowa ma on wywoływać zwiewne skojarzenia, obrazy na wpół zatarte, głębokie echa uczuciowe. Język stanowi w tej poezji coś w rodzaju instrumentu, z którego artysta wydobywa melodie, wybrzmiewające panteistycznie - mistycznym technicem.

Jest to poezja, która nie tyle wyraża uczucia konkretne i zindywidualizowane, ile stara się uchwycić w słowa i słowami zasugerować *emocję pierwotną*, podskórny nurt wzruszeniowy, z którego dopiero wyłania się miłość, zazdrość, tęsknota, żal. Temat wiersza stanowi pretekst tylko; właściwą treścią jest tutaj niejako absolutny dreszcz liryczny, zawarty w nastrojowej, muzycznej formie. „De la musique avant toute chose”, jak głosił przed laty w *Sztuce poetyckiej* Verlaine.

W tym ujęciu miarą czystości poezji musi stać się oderwanie od treści praktycznych i nawet od uczuć życiowych w ich zindy-

widualizowanej postaci. Głównym wrogiem sztuki, synonimem „nie-poezji” staje się dydaktyka i logiczność — logiczność właściwa mowie potocznej i językowi nauki. Artysta powinien w taki sposób uniezwyklic swój język, aby zatarł się jego związek z rzeczywistością powszednią, ażeby w poemacie rozbrzmiał w pełni czysty ton liryczny.

Śmiały poszukiwaczami „poezji czystej” w jej pierwszej odmianie byli Tadeusz Miciński i Bolesław Leśmian. Utwory ich, często nierówne, czasem zupełnie chybione, fosforyzują blaskiem niezrozumiałej i oślepiającej piękności, której nie podobna się oprzeć. Podobny ideał sztuki musiał mieć przed oczyma ks. Henri Bremond, kiedy pisał swój traktat o poezji czystej. Jego *poésie pure* łączy się licznymi węzłami z poetyką i praktyką poetycką symbolizmu. Bremond utożsamia akt twórczy z aktem kontemplacji mistycznej, nadając panteistycznemu mistycznemu symbolizmowi sens zgodny z nauką chrześcijańską. Należy pamiętać o historyczno-literackim uwarunkowaniu tezy Bremonda. Jego teoria

poezji czystej stanowi nadbudowę teoretyczną wczorajszych, przedwojennych dążeń sztuki europejskiej.

III

Zupełnie inny ideał poetycki zrodził się na podłożu prądów nowatorskich w sztuce XX wieku. Jego psychologicznym tłem była *postawa odkrywca*. Bierne, kontemplacyjne nastawienie wobec rzeczywistości przeobraża się tutaj w stosunek aktywny, zdobywczy, „humanistyczny” w rozumieniu jakie nadaje temu słowo amerykański pragmatyzm. Poeta wczoraj wśluchiwał się w głosy natury, pragnąc wyczytać z nich duszę świata; poeta nowoczesny z lekceważeniem odrzuca te metafizyczne urojenia. Źródło twórcze widzi jedynie w *sobie*, w swej jaźni, w „podświadomości”, jak poucza go modna teoria psychologiczna. Liryka nowatorska obnaża codzienne stany duszy, w ogóle burzy granicę między codziennością i odświętnością; ma ambicje poznawcze, pragnie objawić świat podświadomości człowieka w jego nie osłoniętej nagości i tajemnej głębi.

BOUTERON O BALZACU

Warszawskie Towarzystwo Naukowe wspólnie z Instytutem Francuskim gościli niedawno u siebie znakomitego balzakistę, Marcelego Bouterona. Redaktor monumentalnego, czterdziestotomowego wydania dzieł Balzaca, niezmordowany łowca przyczynkarskich szczegółów, mogących jeszcze z jakiejś strony naświetlić twórcze oblicze umiłowanego pisarza, jest także Bouteron autorem licznych studiów, z których kilka, jak *La véritable image de Madame Hańska, Les muses romantiques et Pologne romantique*, wiąże się tematycznie z Polską, krajem — jak powiada sam Bouteron — ulubionym przezeń „au titre balzacien et personnel”.

Odczyt wygłoszony przez Bouterona w Towarzystwie Naukowym 31 stycznia nosił tytuł: *Balzac au travail*. Wygłoszony z niezrównaną, typowo francuską żywością, błyskotliwym humorem i wzruszającym, młodzieńczym entuzjazmem dla postaci wielkiego pisarza, zilustrowany przezroczami i nawet muzyką, odczyt ten nie miał w sobie nic z typowej „prelekcji” i od początku do końca dał się wysłuchać z niesłabnącym zainteresowaniem. Mimo pozornej jednolitości tematycznej dały się w nim jednak wyczuć dwa zasadnicze nurty: jeden o charakterze bardziej gawędziarskim, anegdotycznym, ilustrujący tragicomiczne kłopoty materialne Balzaca, jego upodobanie do zbytku, manię podkreślania swego szlacheckiego pochodzenia, zabawne usiłowanie

naśladowania Napoleona — w jego nawyczkach (pisanie po nocach, biały szlafrok i... marmurowa wanna) itp.; drugi nurt, mniej może efektowny dla powierzchownego słuchacza, ale za to głębszy — to wnikliwa analiza balzakowskiej „techniki pisania”, procesu powstawania dzieła od chwili powzięcia projektu i wykalgrowania obmyślonego z góry tytułu, od narzucenia szkicu całości — poprzez stopy rękopisów zabazgranych nieczytelnym, poprzekreślonym tekstem i pokrytych rysunkami oraz obliczeniami długów — aż do korekt, owych sławnych balzakowskich korekt, które były przekleństwem drukarzy, a teraz są rozkoszą szperaczy-balzakistów. O ile ten drugi „nurt”, wyróżniony w odczycie Bouterona, wydaje się bardzo potrzebny dla analizy dzieła, dostarcza bowiem jego badaczom całego szeregu istotnych przyczynków genetycznych, o tyle można zastanawiać się, czy takie demonstrowanie pisarza „en pantoufle”, jakie praktykuje Bouteron w anegdotycznej części swego odczytu, jest celowe z punktu widzenia historyczno-literackiego. Te wszystkie (interesujące zresztą) szczegóły i szczegółiki lechczą miłe nasz zmysł sensacji i może nawet przybliżają samego pisarza, wywołując z monumentu jego wielkości cząsteczki zwykłych, ludzkich niedoskonałości — ale bynajmniej nie rozszerzają aspektów na to, co ostatecznie jest dla nas najważniejsze: na jego dzieło.

W. Ł.

FILM O KANALE SUEZKIM

Dzieje przekopania kanału suezkiego — to piękny temat, temat monumentalny i pozwalający spodziewać się ciekawych wizji filmowych. Reklama, jaką rozpetano dokoła tego filmu, wydawała się w znacznym stopniu usprawiedliwiona — dopóki nie zobaczyliśmy go na ekranie. Jak zabierze się do pracy autor scenariusza? Czy da *dokument*, surowe fakty dotyczące samego gigantycznego dzieła, otwierającego nową epokę w kolonialnej ekspansji? Czy da *dokument* ludzki, dzieje walk i trudności, jakie musiał przezwyciężyć Lesseps? Czy też dorobi fabułę, w kompozycji, w doborze postaci, w operowaniu nimi grzebiąc historyczne proporcje, a wydobywając na wierzch dramat albo melodramat?

Takie pytania zadawaliśmy sobie przed premierą *Suezu*. I stało się to ostatnie. Scenariusz zląkł się monotonii faktów. To trudne, niewątpliwie trudne tworzyć obraz z powoli narastających wydarzeń, z tego pyłu codziennych zabiegów, lat powodzenia i lat klęski, zanim na jasnej wstępie kanału pojawią się spokojne, majestatyczne przesuwanie się okręty. Potrzebny dobór, zderzenia dramatycznych scen, kontrasty. Ale dobór jaki? Tu, w tym doborze materiału, widąc najlepiej ambicje albo rezygnację twórców. Jeżeli film o Pasteurze nie obawiał się udratyzować samej walki o zdobycie wiedzy — to film o Lessepsie starał się ubarwić, uromantyzować postać bohatera, wpłatać go w konflikty zawiędzonej miłości, słowem: ubrać obraz w podejrzana lekkość i strawność. Jest tu piękna Eugenia, która woli zostać żoną Ludwika Napoleona, zdążającego do korony cesarskiej (Loretta Young), niż dzielić niepewne losy młodego dyplomaty, wysłanego

do Egiptu. Jest wierna, oddana, prosta Toni (Annabella), natchnieniem młodzieńca, obnosząca po pustyniach wspomnienie o tamtej, niewiernej i wiarołomnej. Gdybyż to było przynajmniej trochę byroniczne, gdyby tu był ów gorzki smak oddalenia, jak u młodych ludzi Byrona, owo odmiennienie się światów w życiu, kiedy wszystko minione wydaje się tak odległe, że niemal doznane na innej planecie. Ale nic z tego. To są przygody ustawione obok siebie, równo oświetlone, bez mroku i bez jaskrawego światła.

A cóż zostało z monumentalizmu tematu? Ani przez chwilę nie wychodzimy z gorącej temperatury atelier. Nawet nad piaskiem pustyni świecą jupitery. Brak nam powietrza, brak przestrzeni nie zafalszowanego pleneru, choć dmie w jednej ze scen trąba powietrzna, niszczy i zabija. Wszystko to jest monumentalizmem dekoracji, nie podróży aparatu. Toteż bardziej byłibyśmy wdzięczni za skromność, fragmentaryczność nawet, niż za tę wystawność — zbyt płaską, zbyt dobitną, aby przekonywała.

Film może jednak liczyć na powodzenie. Odrzucony kochanek, zdobywający sławę przez stworzenie wiekopomnego dzieła, kochanka na cesarskim tronie — niezłe to pomysły dla amerykańskiej przemiany historii w romans, historii, która wyglądała na pewno nieco... dyskretniej. Aktorzy — Tyrone Power w roli Lessepsa i Loretta Young jako cesarzowa Eugenia — dobrzy, i nie oni ponoszą odpowiedzialność za słabość filmu. Irytulca natomiast jest Annabella w roli podlotka. Trochę podstarzały podlotek, ćwierka minoderyjnie, a ma oczęta Lukrezji Borgia.

CZESŁAW MIŁOZ

Język tej liryki zrywa z hermetyzmem symbolistów, schodzi ku mowie potocznej, miesza się z językiem prozy. Prozaiczność polega nie tylko na „zniżonym” słownictwie i składni, lecz również na zerwaniu z nastrojową „muzyką” wiersza, stanowi jednak tylko punkt wyjścia. Język poezji nowatorskiej różni się od języka prozy zżęszczeniem, nasyconiem metaforycznym, jest cały przetworzony w duchu śmiałej i surowej matematyki artystycznej. W niezwykłych zestawieniach treści pojęciowych i wyobraźniowych rodzi się migawkowo szczególnie, anty-logiczny sens, który jakoś ma odpowiadać podświadomym treściom psychicznym.

Liryka nowoczesna objawia uczucia *in statu nascendi*, tak jak się rodzą, rozwijają i giną. Nie nazywa ich potocznym imieniem, ale wywołuje sztucznie w czytelniku za pomocą gry elementów artystycznych: pojęć, wyobrażeń i dźwięków mowy. Najsilniejszym elementem poezjotwórczym są dla niej wyobrażenia. Sugestywna metafora deformując konwencjonalny obraz rzeczywistości, narzuca wzruszenie najsilniej i najwymowniej.

Na czym polega wywodzący się z tych przesłanek ideał poezji czystej? Na *intymnym liryzmie*, na śmiałym i nie ustającym dążeniu w głąb podświadomości. Poeta jest odkrywca, nie wolno mu naśladować, dawać odbitek — nawet samego siebie. Zaprzeczeniem „czystej poezji” w takim rozumieniu, synonimem prozy, „nie-poezji” będzie wszelka opisowość, gawędziarstwo, stylizatorstwo, wulgarny sentymentalizm, — to wszystko co nie wynika z pracy wyobraźni, objawiającej nieznanne światy psychiki ludzkiej.

Najwybitniejszy przedstawiciel liryki nowatorskiej Julian Przyboś widzi w tak pojętej „poezji czystej” nie tylko płodny eksperyment artystyczny ale i drogę do wyzwolenia człowieka. Nadrealiści wierzą, że prawda odkryta przez poezję „zniszczy przedział między racjonalnym i irracjonalnym, między jawą i snem, między człowiekiem a człowiekiem... Powstanie nowa kultura absolutnie wolnego człowieka...”.

IV

Najnowsza odmiana „poezji czystej” — ta która dzisiaj stanowi ośrodek sporów literackich, nie pokrywa się z odmianą poprzednią. Wywodzi się ona z innego podłoża psychologicznego: z *postawy kreacyjnej*. Nie o kontemplację ech z zaświata tu idzie, ani nie o odkrywanie głębin psychicznych; idzie o tworzenie, o „postaciowanie”, w znaczeniu zbliżającym się do znaczenia norwidowskiego, o kształtowanie form pięknych.

Nowe tedy znaczenie uzyskuje język. Poezja jako zjawisko obiektywne jest przede wszystkim zjawiskiem lingwistycznym. Poeta tworzy fakty językowe, nadaje mowie żywej — czy to potocznej, czy przekazanej w tradycji artystycznej — pełny i piękny wydźwięk. Mowa jest jego materia, *materia, która w poezji i jak gdyby przez poezję uzyskuje swą właściwą piękną formę*.

W tej odmianie liryki emocja cofa się do roli czynnika wstępnego, towarzyszącego; plan pierwszy zajmuje treść obiektywna sugerowanych przez język, niematerialnych znaczeń: *wizjonerstwo*. I w przeciwieństwie do wizyjności ekspresjonistycznej, wyobrażenie nie stanowi tu symbolu wzruszenia, lecz odrywa się od wrzesań, tworząc autonomiczną rzeczywistość poetycką.

Walka o czystość poezji polega teraz na walce z *surowymi uczuciami*, które prą do bezpośredniego lub ekspresjonistycznego ujawnienia. Zarysowuje się tutaj antagonizm pomiędzy popularnym ideałem liryki pojętej jako sugestywna mowa uczucia, a wskrzeszonym ideałem sztuki antynaturalistycznej, której wielkim patronem, prekursorem i mistrzem jest Juliusz Słowacki.

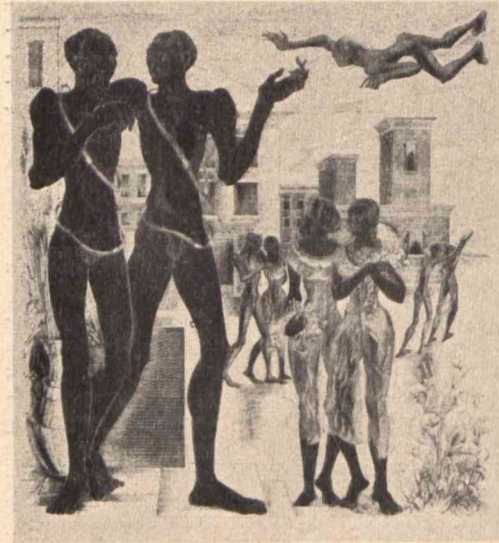
Głównym zarzutem stawianym przez epigonów nowemu ideałowi poezji jest jego rzekoma hermetyczność i czczość, brak związku z rzeczywistością. Ale ta nowa „czysta” poezja nie chce być wcale „czystą” od treści, problematyki, idei. Niechęć do pornografii lirycznej, do trywialności, nie wymaga wcale takich poświęceń. Przypomnijmy „Dom świętego Kazimierza” Czechowicza, w którego migawkowych wizjach urasta widomie i plastycznie cała wielkość duchowa genialnego samotnika paryskiego. Ten poemat, sam jeden, stanowi dostateczną przeciwwagę nie uzasadnionych zarzutów. Prawdziwie od „Fortepianu Chopina” nie było w poezji polskiej równie pięknego i porywającego utworu na cześć wielkiego artysty i jego tradycji.

LUDWIK FRYDE

KONRAD WINKLER

WSPÓŁCZESNA SZTUKA BRYTYJSKA

O współczesnej kulturze plastycznej Anglii mówią nam i na ostatnią ogólnikowo. Wiemy tylko, że na ostatnich wystawach międzynarodowych, szczególnie zaś na weneckiej „Biennale”, dział brytyjski



HUGHES STANTON: Synowie Syjonu

nie budził wśród zwiedzających zbyt wielkiego entuzjazmu, gdyż bezkonkurencyjną faworytką w tych imprezach była zazwyczaj sztuka nowoczesna. A z tą ostatnią po tamtej stronie kanału jest podobno dosyć chudo i niewyraźnie. Mglisty klimat Albionu nie służy widocznym nowatorom — przynajmniej za życia — o czym mógłby coś powiedzieć nieboszczyk Turner.

Sztuka brytyjska ma odmienne od francuskiej tradycje. Wyrosła na podłożu twórczości narzuconej przez cudzoziemców w XVI i XVII wieku (Holbein i Van Dyck); kiedy w XVIII w. zdobyła się na najbardziej angielskiego malarza, wielkiego Hogartha, oscyluje otąd wciąż między wpływami z zewnątrz a swym rasowym widzeniem i odczuwaniem świata, którego oryginalna wiodła zaciążyła połowie ub. stulecia na malarstwie stałego ładu. Trzej znakomici pejzażyści angielscy: Constable,

analizy barwnych składników obrazu, które to elementy stanowią niejako substrat całej problematyki malarskiej naszego wieku. Kolor decyduje tak o pełni, jak i o pustce formy — o czym przekonali się również francuscy kubiści, których arsenał środków malarskich nie mógł się obejść bez komponowania formy kolorami. Neutralizacja koloru w pierwszych fazach. Neutralizacja Picassa, który wysunął wówczas postulat niezależności obrazu od wrażeń, jakie nam daje przyroda — zubożyła równocześnie formę, przeradzając się w końcu w dekoracyjną grę czystej barwy na płótnie. Kolor zwyciężył więc nawet wówczas, kiedy się tego najmniej spodziewano.

Prawo budowy obrazu kolorem rozumieją artyści brytyjscy zbyt tradycyjnie. Czasami wygląda to, jak gdyby obawiali się ryzyka żywej, intensywnej plamy barwnej, jak gdyby nie istniał przed nimi impresjonizm, który wciąż znartychwstaje we wspaniałych feerach technicznych malarzy francuskich. Ugrzązłszy po uszy w swej solidnej bazie technicznej, szukają malarze brytyjscy najmniej rzucających się w oczy rozwiązań kolorystycznych, gdzie dwa, a najwyżej trzy zasadnicze tony na obrazie, o spokojnych i niewątpliwie rozmyślnie sformułowanych przeciwstawieniach, dają treść kolorystyczną całego malowidła. Są jednakowoż ci malarze czasami bardzo interesujący w skrupulatnym rozmieszczeniu walorów i w swym programowym łagodzeniu kontrastów, zwłaszcza w kompozycjach malowanych w jednym podstawowym tonie kontrastowym, który wypełniając interwały między dwiema barwami, wiąże je w spokojne harmonie przejściami łagodnymi, nie rażącymi wzroku. Nie ma tam wprawdzie tonów fałszywych, nie ma kaskad — ale też nie ma owych ekscytycznych spekulacji kolorystycznych i tej czułej wrażliwości na barwę, która bogacąc niezmiernie wizję świata nasycą wyobraźnię widza w sposób wyjątkowy.

Ową uderzającą wstrząsliwością kolorystyczną zdradzają niemal wszyscy pokazani nam współczesni malarze angielscy — od typowych akademików z XIX w., jak Ch. Conder, Clausen, Coldstream, Guthrie, John, Munnings, Orpen, Smith, Walker itp.



WILLIAM ORPEN

Rodzina malarza

— do modernistów w rodzaju P. Lewisa, W. Robertsa i S. Spencera. Najciekawszy może z całego zespołu malarze martwych natur w typie D. Granta, R. Medleya i Ch. Wooda zwracają również uwagę swym żywym umiarkowaniem kolorystycznym, które jednakowoż starają się okupić wyszukany harmoniami tonów ciemnych, przeważnie brązowych i tabaczkowych, z ostrożnie dozywianymi przeciwstawieniami żółci i błękitu, które rozwiązują kompozycje w sposób nie pozbawiony akcentów dystynkcji i powagi.

Współcześni portreciści angielscy daleko nieestety osiągli od swych wspaniałych arcywzorów osiemnastowiecznych, których dalekie ocha blakają się jeszcze tu i ówdzie w portretach kobiecych A. Mc. Evoya, W. Russella i M. Gertlera („Portret matki”). Moderniści, niestety licznie reprezentowani, dają jednak swą oryginalną wizję świata szczerze i bezpretensjonalnie. Wpływ kubizmu widoczny szczególnie w kompozycjach P. W. Lewisa („Scena na czerwono”) i W. Robertsa. S. Spencer, nawiązujący częściowo do tradycji Gauguina, przekonany swą swą zwartą i konsekwentną budową obrazu („Zrywający jabłko”). Jedyny na wystawie nadrealista, P. Nash, nie byłby się swego instynktu plastycznego wobec przynajmniej „literatury”.

Pyszniący się — nie bez racji — swym malarstwem wodnym, brytyjczy — swym nie zademonstrowali walorów swej „narodowej” techniki malarskiej w sposób przekonujący. Na wystawie zwraca wprawdzie uwagę na wypracowane delikatną i subtelną plamą kolorową, przy daleko posuniętym opanowaniu materiału i tajników malarskiej wiedzy, lecz wszystkie owe

centralne zastąpią oryginalnej wizji malarskiej i temperamencie kolorystycznym który tak nas sugestionuje np. w akwarelach Vlamincka. A przecież nie kto inny, tylko Vlaminck — ów najważniejszy atut w malarstwie wodnym nad Sekwaną, waży się w tej technice na najbliższe nawet eksperymenty kolorystyczne, z których zawsze prawie wychodzi zwycięsko. Malarze angielscy mają jednak w akwareli swój styl w traktowaniu powierzchni papieru, który przeświecając spod lekko położonej farby nadaje całej kompozycji pewną zwięzłość i świetlistość obok nieskazitelności rysunku i pewności budowy. Podobnie traktował malarstwo wodne Cézanne — który ponadto miał jeszcze coś więcej do powiedzenia. Z akwarelistów należałoby wymienić Ph. Connarda, R. Darwina, A. Hilla i W. R. Sickerta.

Mar wrażeń, iż gwika stawką najmniejszą pozycję brytyjskiej wystawy. Królują tu przede wszystkim techniki metalu, jak akwaforty, suchoryt, miedzioryt i t. p., ale i litografia oraz drzeworyt mają wielu wybitniejszych przedstawicieli. Rozwój angielskiego drzeworytnictwa, którego



WILSON STEER

Podbieracze gniazd

Turner i Bonington, zwłaszcza dwaj ostatni, wskazując drogę francuskim impresjonistom, uznającą tym samym swój decydujący udział w rozwoju sztuki światowej. Niebawem następuje moment załamania się tej świetnej rasy na froncie sztuki, która w drugiej połowie ub. stulecia zdołała wydać jeszcze prerafaelitów, nadaremnie zmierzających do wskrzeszenia tradycji włoskiego quattrocenta. Wieki bieżący w Anglii, to raj dla akademizmu.

Pozostało jednak rzemiosło malarskie i to solidne rzemiosło, pozostała wiedza malarska w twórczych obcej i rodzimej sztuki oparta. W ub. roku podziwiano ów żelazny kapitał tej wyspiarskiej sztuki na wielkiej wystawie retrospektywnej malarstwa angielskiego w paryskim Luwrze, gdzie w arcydziełach portrecistów angielskich z XVIII w. znajdowano źródło inspiracji wielu najgłośniejszych malarzy na kontynencie. Miała więc ta sztuka swój okres stylotwórczy — kto wie, może mieć go będzie jutro, do czego przyczyni się niewątpliwie tradycyjny kult „correctness and authority” malarskiego rzemiosła.

Dzisiaj dzisiejszy w malarstwie to przede wszystkim naradomowa psychologia kształtu nie da się już pomyśleć bez równoczesnej

LOTERIA W ŚWIECIE I U NAS

Rozróżniamy dwa rodzaje loterii, loterię klasową i loterię numerową. Większość państw wprowadziła u siebie loterię klasową, gdyż numerowa posiada pewne cechy gier hazardowych, niechętnie przez rządy tolerowanych.

Włochy i Turcja Austria posiadają loterie liczbowe. W Turcji dochody z loterii są przeznaczane na zakup samolotów, we Włoszech na elektryfikację kolei. Argentyna, Niemcy i Panama przeznaczają pewną część wpływów na cele społeczne.

Anglia, Japonia i Ameryka nie posiadają loterii państwowych. Anglicy jednak grają na „Irish Sweepstakes”, grze irlandzkiej przesyłając blisko miliard dolarów rocznie do Irlandii, Kuby, Panamy i Francji, skupując poza tym losy loterii nielegalnych. Obliczono, że pół miliona milionów dolarów Waszyngtonu wydatkuje 30 milionów dolarów na losy loteryjne. Obecnie prowadzone są w prasie dyskusje na temat wprowadzenia loterii państwowej.

O ile zamiar ten dojdzie do skutku, Amerykanie niewątpliwie zechcą się zapoznać z planem Polskiej Loterii Klasowej, jednej z najdoskonalszych w Europie.

Niemieckie państwo posiadające wysokim poziomem, Podalska Loteria Klasowa ciągle wprowadza nowe ulepszenia. Tak więc, ponieważ większość graczy życzy sobie zwiększenia ilości średnich wygranych, w planie 44 Loterii wprowadzono szereg zmian: podwyższono ilość wygranych 500 do 1000 złotych; ogólną ilość wygranych powiększono z 30.000 na 82.500 (na sumę 25.987.800 zamiast dotychczasowej 25.200.000 zł.). W IV klasie będzie sześć wygranych 75.000 zł. zamiast trzech, a zamiast wygranych dodatkowych wprowadzono 400 wygranych normalnych po 2500 zł. Poza tym ustalono t. zw. wygrane dzienne na 10 i 20 tysięcy, zamiast dotychczasowych 5 do 20 tysięcy.

Z tych wzmocnionych szans skorzysta może każdy, kto nabędzie los do pierwszej klasy czterdziestej czwartej Loterii. Ciągnięcie rozpocznie się 23 lutego.



A. E. JOHN: Płk. Lawrence

odrodzenie zawdzięczać należy luksusowym wydawnictwom książkowym, ma swój punkt szczytowy w świetnych pracach Blair Hughes-Stantona, laureata weneckiej „Biennale”. Jest to jedyny może na wystawie artysta nowoczesny, którego wyobraźnia pracuje na równo z opanowaniem artystycznego rzemiosła i wiedzą techniczną.

Śczęśliwie pomyslanym uzupełnieniem wystawy jest pokaz dawnej sztuki sztycharskiej z XVIII i początku XIX w., której jak najświetniejszą tradycję czuwają niejako nad plastyką brytyjską.

KONRAD WINKLER

HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA

MICHASIA OD WENDERÓW

II

Któregoś sobotniego popołudnia jak zwykle przyjechał pan Wender. Nie miał tego lata urlopu i do Brzeżinek zaglądał tylko na niedzielę. Na jego przyjazd szykowano gotowaną kolację, Tomciowi obcinano paznokcie, a pani Wenderowa wkładała jedwabną bluzkę z dekoltem. Tylko Michasia buntowała się zawsze, kiedy kazano jej włożyć z tej okazji czysty fartuch. „Ojej, ważne mi święto, że pan przyjeżdża!” — mruczała, wrzuszając ramionami. Zdaje się, że nie bardzo lubiła pana Wendera.

Pan Wender był wysoki i poważny. Twarz miał śniadą i nieskazitelnie matową jak maska z ciemnej porcelany, groźnie przeciętą czarną linią dużych jedwabistych wąsów, opadających na pełne, bardzo czerwone wargi. Mówił niewiele, ale wyraziste spojrzenie jego ogromnych czarnych oczu starczało za słowa. Bałam się trochę tych oczu, to aksamitnie miękkich, to znów chłodnych i niezgłębionych, jak czarna tafla stawu wieczorem; było w nich coś nakazującego ślepe posłuszeństwo. Zauważyłam, że nawet pani Wenderowa nie była oswojona z oczami swego męża. Często pod ich spojrzeniem dziwnie miękła i rumieniła się śmiesznie jak mała dziewczynka.

Tego właśnie wieczora pan Wender przywiózł ze sobą list od swego młodszego brata, Anatola, który od sześciu lat przebywał w Ameryce. Lekko ożywiony odczytywał go półgłosem żonie, która co chwila, nie wiadomo dlaczego, ogłądała się niespokojnie na drzwi kuchenne. Mama czytała gazetę, a my z Tomciem niecierpliwie zerkaliśmy w stronę kilku fotografii, wyjętych z listu i odłożonych na razie na bok. Strasznie byliśmy ciekawi tego wuja Anatola, do którego Tomcio miał być bardzo podobny, a zwłaszcza jego żony, ślicznej Amerykanki, z którą pobrali się przed rokiem.

Nagle tuż nad stołem coś zadźwięczało. To były szklanki z herbatą, wniesione przez Michasia. Musiała wbrew zwyczajowi wejść bardzo cicho. Odstawiła tacę i niemal w tej samej chwili ręka jej ciężko i drgając spadła na fotografię. Pan Wender spojrzął na nią karcąc, ale nic nie powiedział. Nie ulekkła się jego wzroku. Nieubłaganą dłonią zgrnęła te fotografie ze stołu i podniosła je oczom. Przesuwała je bardzo powoli, jedną za drugą. Przy ostatniej fotografii ręce Michasia zatrzęsły się gwałtownie. Na tę patrzyła chyba najdłużej. W końcu bardzo delikatnie odłożyła ją na stół.

— Córeczka... — powiedziała ochryplym głosem. — Córeczkę mają...

Potem odwróciła się raptownie i dudniąc bosymi nogami wpadła do kuchni, zatraskując za sobą drzwi.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Mama do późna siedziała z Wenderami w jadalni i rozprawiali o czymś przyciszonymi głosami. Kiedy wreszcie położyła się i ona, po godzinie zbudziło nas ujadanie psa i krzyki pani Wenderowej, dochodzące jakby ze strychu. Trzasnęły jakieś drzwi, ktoś popędził przez schody, za ścianą zapłakał przez sen Tomcio. Przebudzone kury wydierały się w kurniku. Mama zakazała mi ruszać się z łóżka i wybiegła zobaczyć, co się dzieje. Wróciła niezadługo, zapewniając, że nic się nie stało i aby mnie ostatecznie uspokoić, położyła się koło mnie. Coś jednak musiało się stać tej nocy: do świtu prawie słychać było z kuchni jakąś krzątaninę, perswadyjące głosy państwa Wenderów i czyjeś straszne, chrapliwe szlochanie przerywane kaszlem.

Nazajutrz Michasia leżała cały dzień w łóżku, sina, opuchnięta i z owiazaną szyją. Nie nie mówiła i unikała naszych spojrzeń, jakby się czegoś wstydzila. Pani Wenderowa, która krzątała się koło niej z twarzą zdradzającą niewyspanie i troskę, powiedziała nam, że Michasia „gardło boli”. Nie musiało to jednak być nic zaraźliwego, bo pozwolono nam podejść do niej i nawet pocałować ją. Wtedy dopiero uśmiechnęła się słabo, jakby żalostnie i poglaskała Tomcia po głowie. Następnego dnia wróciła już do swoich zwykłych zajęć, ale gardło musiało ją widać boleć jeszcze długo, bo przez dwa tygodnie nie zdejmowała z szyi chusteczki i bardzo się na nas gniewała, kiedy żartem usiłowaliśmy ją zsunąć.

Lata, które nastąpiły po brzezińskich wakacjach, odsunęły mnie nieco od domu Wenderów. Skończyła się wojna, wrócił ojciec i życie domowe zaczęło iść nowym

trybem. Przestaliśmy wyjeżdżać na wakacje razem z Wenderami, a wśród roku bywałam u nich bardzo rzadko. O Michasi dochodziły mnie tylko wieści, że jest po starciu „nieznośna”, ale nie można się jej pozbyć i właściwie... niesposób się bez niej obejść.

Nieodzowność Michasia dla domu Wenderów objawiła się w całej pełni dopiero później, kiedy pani Leonka zaczęła chorować na płuca i porzuciwszy pracę w szkole, przeniosła się na wieś, do Piaskowej. Zabrała ze sobą Tomcia i Michasia, pan Wender zaś pozostał w Warszawie i przyjeżdżał do rodziny tylko w niedzielę i święta.

W Piaskowej nie było zbyt ładnie, ale suche i przesycone zapachem sosnowego igliwia powietrze miało być podobno bardzo zdrowe, toteż wysyłano mnie tam na każde ferie Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Już przy pierwszej wizycie zauważyłam, że Michasia stała się faktyczną głową domu. Pani Wenderowa — jakby wraz ze zdrowiem straciła i dawną inicjatywę — spędzała teraz całe dni na leżaku, lub w łóżku, czytając, albo po prostu patrząc przed siebie w jeden punkt. Tomciem nie zajmowała się prawie wcale. Na Michasi spoczął zatem nie tylko cały ciężar prowadzenia gospodarstwa i pielęgnowania chorej, ale także obowiązki „wychowawcze”, które zresztą przejęła chętnie i bez szemrania. Ona to zajmowała się obecnie Tomciem, wyprawiała go do miejscowej szkoły powszechnej, a nawet odrabiała z nim lekcje. Ze wzmogoną gorliwością nabijała mu też głowę swoją wiedzą o świecie, której dotkliwa niekompletność i chaotywność zaczęły mnie już w tym czasie poważnie razić.

Gospodarstwo w Piaskowej wyglądało bardzo opłakanie. Z natury nieporządna i pozbawiona zmysłu organizacyjnego Michasia nie umiała sobie poradzić z nadmiarem zajęć: obiad w Piaskowej wykańczał się dopiero pod wieczór, nie dokręcone w porę piece dymiły, lampy filowały, a w kuchni, na Michasym łóżku, pośród malowniczych wiązek marchewki i buraczków, piętrzyły się pomyte talerze, brudna białozna do prania, Tomciowe zeszyty i książki pani Wenderowej. Tam również nosiły się na wiosnę kury i igrały swawolne kocięta...

Pani Wenderowa patrzyła na to wszystko z dziwną obojętnością. Zdaje się, że oprócz choroby dolegała jej jeszcze jakaś utajona troska, która przesłaniała jej wszystko i wtręcała w stan chronicznej apatii. Już nie obcinała Tomciowych paznokci na przyjazd ojca, nie przebierała się w jedwabną bluzkę, przeciwnie: przychodziła do niedzielnego stołu w starym zniszczonym szlafroku, z niedbale przyczesanymi włosami i siadała naprzeciw męża blada, milcząca, jakby nieobecna, obrzucając go tylko od czasu do czasu ukradkowym, niespokojnym spojrzeniem. Przestała się też rumienić pod jego wzrokiem, może dlatego zresztą, że patrzył na nią w tych czasach coraz rzadziej, a nigdy już tak ciepło i aksamitnie, jak niegdyś w Brzeżinkach.

Tomcio, rzecz szczególna, bardzo kochał tego swojego dziwnego, milczącego ojca — może dlatego właśnie, że widując go rzadko, doznawał od niego jedynie rzeczy przyjemnych. Pan Wender był dla Tomcia synonimem upominków, gry w warcaby, dalekich eskapad nad Wisłę i... dyskusyj „o polityce”, do których ojciec chętnie prowokował dziewięcioletniego rezonera. Michasia, zdaje się, patrzyła krzywym okiem na to Tomciowe przywiązanie, ale brakło jej odwagi, by je podważyć. Czasem tylko w rozmowach w cztery oczy dawała mi do zrozumienia, że pan Wender jest nie lepszy niż „inne mężczyźni” i zażaloby się niejako do zarzucenia mu, tylko „Panienka” jest za delikatna i dlatego „wszystko „dusi w sobie”.

Którejś zimy pan Wender wcale nie przyjechał na święta. Pani Wenderowa nie wydawała się tym zbyt zaskoczona i nawet znalazła jakiś powód, aby usprawiedliwić przed nami tę nieobecność. Nie uszło jednak naszej uwagi, że w Wigilię miała za-czerwienione powieki, a w sylwestrowy wieczór już o ósmej położyła się spać, oświadczając, że nonsensem jest wyczekiwać do północy nadejścia Nowego Roku, który i tak nie dobrego nie przyniesie.

Nadspodziewanie jednak właśnie w Nowy Rok zjawił się pan Wender. Przyjechał rano, przybladły i jakby niewyspany, ale za to dziwnie ożywiony i z walizką pełną

gwiazdkowych upominków. Przez cały dzień był zupełnie niepodobny do siebie i nadspodziewanie miły: serdecznie wypytywał żonę o zdrowie, żartował ze mną i z Tomciem, ba, nawet kleczał razem z nami na podłodze, zabawiając się puszczeniem w ruch wspaniałej kolejki, którą przywiózł synowi. Pod tą sztuczną niefrasobliwością wyczuwało się jednak coś niepokojącego, jakby chęć zamaskowania do czasu właściwego celu wizyty, albo usiłowanie przygotowania sobie gruntu do jakiejś decydującej rozgrywki. Pani Wenderowa wyczuwała to pewnie nie gorzej od nas, bo zaraz po podwieczorku przywołała Michasia i chociaż pogoda była niepewna, kazała jej pójść z nami na spacer. Pan Wender zrobił ruch, jakby chciał nas zatrzymać, ale popatrzyła mu w oczy i powiedziała dobitnie:

— Przecież masz mi coś do powiedzenia. Im prędzej, tym lepiej. A dzieci chyba nie są przy tym potrzebne?

Kiedy znaleźliśmy się przy furcie, Michasia zatrzymała się. — Dalej pójściecie sami — powiedziała tonem nie znośnym sprzeciwu. — Już ciemnowo, ale nie się wam nie stanie. Wstąpię do Rudzików pobawić się z kotkami, ja tam po was niedługo przylecę.

Nie protestowaliśmy. Wiedzieliśmy dobrze, że wraca do domu, żeby podsłuchiwać, ale wcale nie mieliśmy jej tego za złe. Przeciwnie, wydawało nam się, że jej obecność jest tam właśnie niezbędna, jakby mogła zapobiec czemuś niedobremu...

Kiedy przyszła po nas po godzinie, nadrabiała miną, ale oczy miała płonące i nieprzytomne. Nie pytalimy o nic — jakoś nam wstyd było. Zresztą wiedzieliśmy, że i tak nie powie.

Pani Wenderowa nie przyszła na kolację do stołu. Podobno głowa ją bolala. Tomcia wcześniej zapędzono do łóżka. Pan Wender tym razem kazał sobie posłać w jadalni na kanapie. Zabrałam się i ja do swojego pokoju. Po jakimś czasie doszły mnie z jadalni głosy Michasia i pana Wendera. Starali się nie krzyżeć, ale w głosach ich pulsowało hamowane podniecenie.

— Przecież powtarzam Michasi po raz nie wiem który, że moja żona sama zgadza się na rozwód i uważa, że tak będzie najlepiej.

— Co tam Panienska mówi, to nie nie znaczy. Ona tak przez dumę. Ale dziecko!!! Ona teraz o niego nie dba, nie ma do tego zdrowia, ani spokojnej głowy. Pan jeden by mógł wychować go na ludzi. On pana kocha...

— I ja go kocham. Ale muszę być z tamtą osobą. Zresztą Tomek nie jest sam na świecie: ma matkę. A na utrzymanie będę im przysyłać.

— Pana miejsce jest przy matce i dziecku! Pan nie ma prawa! Porządny człowiek tak nie robi!

Pan Wender uderzył ręką w stół: — Dość tego! Nie Michasia będzie mnie uczyć, jak mam postępować!

— A kto? A kto, jak nie ja? Nie byłam to z wami od początku? Nie wykarmlałam pańskiego dziecka? O kogo mam dbać, jak nie o niego, kiedy moja mała marnie skapiła przez pańskiego brata?!

Pan Wender nie odzywał się.

— „Odpuść ty mu!” skamlała pańska matka, jak mi się Helutka urodziła. „Nie wiąż ze sobą, życia mu nie lam! On młody, jemu się jeszcze uczyć, po świecie jeździć... A dziecko na wieś dasz, do dobrych ludzi... Odchowa się, nie zginie...” No i usłuchałam, głupia! Bo i pewnie: Antolek student, Antolek jenteligent, gdzie mu się z dziewczyną od garnków żenić? Wyjechał... Do obcych ludzi na wieś posła Helutka, a ja za mamkę. Do państwa. Antolkowego brata dziecko nianiężyć!

— Przecież nie było Michasi u nas źle... Przecież traktowaliśmy jak równą...

— Jak równą, jak równą... Tylko dla Tomcia było wszystko: mój pokarm, moje niedospane noce, kołysanie, śpiewanie... Dla Tomcia białe sukieneczki, zabaweczki... Jak brzuszek zabolął — doktor. A Helutkę u chamów, w brudnej chałupie, w jedną noc dyfteryt zadusił!!! Ojca, matki przy niej nie było...

Zachłysnęła się szlochem.

— To bardzo smutne, przyznaję. Ale to już stare dzieje. Nic się teraz nie odstanie. I zresztą to nic nie ma do rzeczy. Więc dlatego, że Michasi dziecko umarło, ja miałym się nie rozwodzić z żoną?

— A pamięta pan wtedy w Brzeżinkach? Jak przyszedł ten list z Ameryki i te fotografie... Dziecko im się urodziło. Dziewczynka. Oczki czarniutkie, całkiem

jak Helutka... Pamięta pan? Wieszałam się na strychu. Zdjęliście. „Nie rozpaczaj”, — mówicie — „masz przecież Tomcia. Jesteś mu jakby drugą matką”. No, to i jestem. Jakże mi teraz pozwolić, żeby się bez ojca został? Czy to mu się ojciec nie należy, czy to on nieślubny bękart? Jemu trzeba twardej ręki męskiej, co by go poprowadziła, jak się należy, szkoły mu potrzeba porządnej, a nie żeby się tak chował na wsi z kurami!

— Znajdzie się na to rada, może odдам go gdzie do internatu...

— Nie ma żadnej rady! Pan musi zostać przy dziecku i przy Paniencie. Pan nie może wyjechać! Ja nie pozwolę!

Rozkrzyczała się na dobre.

— Michasiu! — rozległ się nagle głos pani Wenderowej. (Musiała usłyszeć krzyki i nadejść zniecka). — Michasiu... Już dosyć tych dyskusyj. Jeszcze się dzieci pobudzą. Proszę iść spać. My już wszystko sami złatwiliśmy. Ostatecznie Tomcio jest przecież moim dzieckiem, więc prędzej niż Michasia mam prawo decydować o jego losie. Ja się na rozwód zgodziłam i to chyba wystarczy.

— Panienska dziecko, no pewnie... — powtórzyła Michasia z goryczą. — Mnie tylko wolno nianiężyć, tylek podcierać, ale jak co do czego, to pysk na kłódkę i won do kuchni!

Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, a potem człapanie bosych nóg w kuchni. Po chwili zającało wściekle łóżko kuchenne i skrzypiało długo, przeciągle, rozpaczliwie aż do samego rana.

Jak nie trudno było przewidzieć, Michasina interwencja na nic się nie zdała i państwo Wenderowie rozwiedli się ze sobą. Wkrótce potem pan Wender ze swoją nową żoną wyjechał do Ameryki, gdzie miał do spółki z bratem poprowadzić jakieś intratne przedsiębiorstwo budowlane. Pani Wenderowa porzuciła Piaskową i wróciła na dawną posadę nauczycielską w Warszawie. Okazało się, że wbrew pozorom dwuletni pobyt na wsi znacznie poprawił jej stan zdrowia, a ostateczne rozcięcie bolesnego węzła tragedii małżeńskiej skutecznie wytrąciło z dotychczasowej apatii.

W Warszawie wróciła do dawnej roli pani domu i poczęła stopniowo przejmować w swoje ręce zaniedbane wychowanie Tomcia. Zarówno jedno jak i drugie dało powód do codziennych użerań się z Michasią, która niechętnie rezygnowała z okupionego tyłoma trudami stanowiska. Wszystko, cokolwiek „Panienka” zrobiła lub zarządziła, wydawało się Michasi bezsensowne, niepraktyczne i w ostatecznym wyniku — szkodliwe „dla dziecka”. „Dziecko” było już w tym czasie wyróżnionym i dość nieznośnym dwunastoletnim chłopczyskiem, w oczach Michasi pozostało jednak ciągle małym Tomciem, którego trzeba nianiężyć, hołubić, chronić od przeziębienia i zepsucia żołądka. Nie szczędziła też swojej pani naiwnych kazań na temat wychowania. Michasine „exposé”, stanowiące fantastyczny konglomerat teorii załapanych podczas lektury różnorakich powieści, grubych „Pedagogik” z biblioteki pani Wenderowej i uporczywych, niewypienionych, wsiowych „widzimisię” — były prześmieszne i nieznośne. Wygłaszane zrazu w cztery oczy, a potem i publicznie, wobec gości, kończyły się zazwyczaj awanturami. Pani Wenderowa z wiekiem wyrosła trochę z demokracji swych lat młodzieńczych i wzmagała się z każdym rokiem poufalość Michasia, daleko wykraczająca poza ramy tego, co przystoi starej i wiernej służącej, coraz bardziej ją niecierpliwiła; być może również, że osoba Michasi, tak nierozłącznie związana z dziejami współżycia z mężem, budziła w niej bolesne przypomnienia faktów, które rada by była zagrzebać w niepamięci...

Od chwili opuszczenia Piaskowej dom Wenderów mniej więcej co parę miesięcy stawał się widowiskiem dramatycznych scen: to pani Wenderowa rozstawiała się ze swoją służącą. Wzywano moją matkę na arbitra, perswadowano Michasi, że tak będzie dla obu stron najlepiej i w końcu odchodziła, wyrzucając uprzednio z kuferka wszystkie otrzymane w ciągu lat prezenty i złorzeczając „jenteligentom”. Po tygodniu jednak wracała jak obity pies i na przemian to obiecyując poprawę, to znów groząc najwymyślniejszą zemstą, błagała, aby ją przyjąć z powrotem. — Bo co ja mam na tym świecie? — wywodziła żalostnie. — Aby to dziecko i Panienkę... Bez was nie mam po co żyć!

Kiedy Tomek przeszedł do piątej klasy, znowu zaczęłam częściej bywać u Wenderów, tym razem w charakterze jego korepetytorki. Lata, które minęły od brzezińskich wakacji, bardzo zmieniły nasz stosunek. Od dawna nie było już mowy o „narzeczności” — miejsce jego zajęła prozajczna zażyłość, właściwa ludziom, którzy znają się od dziecka i zdążyli sobie spowszednieć. Na domiar trzydziestu różnica wieku, spotęgowana faktem, że Tomek, opóźniony w nauce, był dopiero uczniem piątej klasy, podczas gdy ja już od roku studentką, stwarzała między nami przegrodę, uniemożliwiającą nie tylko przyjaźń, ale nawet koleżeństwo. Usiłowałam niekiedy zapomnieć o mojej świeżej dorosłości i wejrzeć życzliwie w te jego niezrozumiałe i śmieszne chłopczyńskie sprawy, ale stawał wtedy okoniem i zamknawszy się w hardym milczeniu, zmuszał mnie do powrotu na wąskie tory, wytknięte obowiązkami korepetytorki, albo na teren powierzchniowych rozmów o tym i owym.

Mimo tego przymusowego dystansu miałam okazję zauważyć, że Tomek zmienił się bardzo. Zdaje się, że stawał się podobny do ojca. Dawna dziecinna wylewność ustąpiła miejsca powściągliwości. Był milczący, skryty i bezwzględny. Z matką liczył się trochę, Michasię jednak po prostu tolerował, tak jak toleruje się w mieszkaniu stary i wysłużony mebel. Od dawna już przestały mu imponować okruciny zaplanowane przez nią niegdyś wieszki, a nieustanna troskliwość nużyła i kępowała. Nie znając skomplikowanego podłoża tej niańczynej czułości, nie miał dla niej wyrozumienia, a natrętna niekiedy ingerencja Michasi w jego szkolne i domowe sprawy budziła w nim niechęć, wzrastającą z dnia na dzień.

Michasia nie orientowała się w procesach zachodzących w jej wychowanku; jak każda naprawdę kochająca istota, była zaślepiona, a przy tym — jak już wspominałam — miała ona wyjątkowo słabe poczucie rzeczywistości. Tomcio-niemowlę, Tomcio-sześciolatek z Brzezinek, obecny uczeń i przyszły inżynier byli dla niej ciągle jedną i tą samą istotą — dziećciem,

z którym bardziej niż matka czuła się związana niewidzialną pępowiną duchową i sądziła, że tak już będzie do śmierci. Mimo bolesnych doświadczeń życiowych Michasia nie zdawała sobie sprawy, że ludzie zmieniają się — może dlatego zresztą, że ona jedna w domu Wenderów była naprawdę niezmienna, tak właśnie jak mebel, który nawet niszcząc, zachowuje ciągle swój kształt i przeznaczenie...

Któregoś dnia, przyszedłszy na lekcję, zastałam Michasię w pokoju Tomka, rozkrzyczaną i czerwona z podniecenia. Tomek stał przy piecu lekko zmieszany, jakby znienacka na czymś przyłapany, ale nadrabiał miną. Spojrzawszy na niego, od razu odgadłam powód Michasięgo uniesienia: palił papierosa! Robił to niewłaściwie, ale ze sztuczną brawurą i milczał zawzięcie, jakby wcale nie słyszał krzyków Michasi.

Od razu wzięła mnie za świadka niesłuchanego wykroczenia:

— Widziała Hańdzia? Kurzyć mu się zachciało! Koleżków maluje, głupi! Mówię ci po dobroci, odłóż to świństwo, bo sama ci z ust wyjmę!

Zamiast odpowiedzi zaciągnął się tylko głęboko, patrząc na nią wyzywająco.

Zrobiła krok w jego stronę, ale zatrzymała się.

— Ja przecież nie żęby ci na złość, Tomeczku... — powiedziała cieplej. — Ja tylko dla twojego dobra... Po matce płuća masz słabe... I w ogóle po co takiemu smarkaczowi papieros? — dodała nieoglednie.

Wtedy wybuchnął:

— Dla Michasi ciągle jestem szczeniaki! Najchętniej to by mnie jeszcze przy cycku trzymała, jak kiedy byłem mały! A ja już znieść nie mogę tego głupiego niańczenia!

— Ach, ty niedobre dziecko! Tak mówisz do mnie, com cię od małego wychowała, co nikogo... oprócz ciebie... na całym świecie... — ?

— Ciągle ta sama piosenka! Nie proszę Michasi, żeby mnie chowała, żeby się dla mnie poświęcała. Jak chce, to niech poskarży mamie, ale sama niech mnie nie poucza. Już dość mam tej ciągłej kontro-

li, tego włożenia do mnie nie wiadomo po co i nawet bez pukania! To jest mój pokój i nikomu nic do tego, co ja tu robię. A Michasi miejsce jest w kuchni, przy garnkach!

Rzuciłam się ku niemu, chcąc go zmusić do milczenia, ale spojrzawszy na Michasię, zrozumiałam, że jest już za późno... Stała nieruchoma, jakby wrośnięta w ziemię, z oczami rozszerzonymi bolesnym zdumieniem. Jej wystające policzki powlekała straszna bladeść.

— W kuchni... w kuchni... — powtórzyła, jakby nie rozumiejąc. — No, to dobrze, pójdę sobie do tej mojej kuchni... — powiedziała powoli i sztywna, drewnianymi krokami wyszła z pokoju, cicho przyzymkając za sobą drzwi.

Gdy wszedłam do niej po chwili, zastałam ją na kuferku, z opuszczonymi rękami i wzrokiem nieruchomo utkwionym przed siebie. Objęłam ją za szyję i usiłowałam pocieszyć, wytłumaczyć jakoś tego Tomka...

— Nie trzeba nic mówić, Hańdziu — powiedziała ze strasznym spokojem. — Ja już teraz sama wszystko rozumiem. Ciężko uwierzyć, ale widzę: on mnie przecież nie a nie nie lubi, ten chłopak... Pójdę sobie chyba od nich, czy jak?

Nie odeszła jednak od nich, bo i jakże? Czy drzewo może samo odejść z miejsca, które przed laty wrosło małą plonką? Odeszli za to oni. Daleko, aż do Ameryki. Do tej samej, która zabrała gwiazdnego nauczyciela-Antolka, a potem Tomcio-wego ojca, milczącego pana Wendera. On to właśnie po śmierci drugiej żony, która nie zostawiła mu dzieci, zateśnił do syna-maturzysty i zaprzagnął sprowadzić go do siebie, aby zająć się jego przyszłością. Pani Wenderowa nie chciała stawać na przeszkodzie karierze syna, ale na rozstanie z nim także nie mogła się zdecydować. Miała trochę uciulanego grosza, pan Wender obiecywał znaleźć dla niej jakąś pracę — postanowiła więc jechać razem z Tomkiem, aby być w jego pobliżu. Tak więc dziwną ironią losu bieg wydarzeń poszedł właściwie po myśli Michasi i w tym jedynym wypadku nie mogła znaleźć nic do krytykowania:

Tomcio miał przecież zaznać nareszcie „reki ojcowskiej”, a „Panienska” znaleźć się w zasięgu opieki bylego męża... Marząc od lat o pomyślnym rozwiązaniu rodzinnego konfliktu Wenderów, nie przewidziała Michasia, że nastąpi on w takiej właśnie formie, która wytrąci ją poza nawias ich domu i po raz ostatni w życiu, a zarazem najdotkliwszy — osieroci.

Spotkałam ją na dworcu, kiedy odprawialiśmy odjeżdżających. W starym palacie Wenderów, w miejskich buciach, do których nogi jej nigdy nie mogły przywyknąć, wyglądała nienaturalnie i śmiesznie. Zauważyłam ze zdumieniem, że przez ostatnie miesiące bardzo posiwiła — a przecież nie miała jeszcze czterdziestu lat! Wbrew moim przewidywaniom nie wyglądała na zrozpaczoną: rzeczowo rozprawiła z panią Wenderową o przygotowanych na drogę prowiantach, doglądała paczek i wyklócała się z tragarzami o napiwki. Było jednak w wyrazie jej twarzy, tęym i po latach znów uderzająco chłopskim, coś co przejmowało nas uczuciem, że tu właśnie, na zadymionym i gwarnym dworcu warszawskim, w obecności setek ludzi dzieje się komuś straszna i niepowetowana krzywda...

Kiedy rozstawaliśmy się z nią potem na ulicy, nie wiedziała jeszcze, co ze sobą pocznie; mogła iść na nową służbę, mówiła jednak o tym niechętnie; miała też trochę uciulanych pieniędzy i mogła wrócić do siebie na jej bliskich, Obiecała, że w każdym razie zajrzy do nas na pewno któreś z najbliższych niedziel. Nie dotrzymała jednak obietnicy i przepadła gdzieś bez śladu. Po paru miesiącach oczekiwania poczęliśmy o nią rozpytywać tu i ówdzie, ale bez rezultatu. Ostatecznie napisałam do tych jej Górek, spodziewając się, że może w gminie będą coś wiedzieli. Po paru tygodniach nadeszła odpowiedź donosząca, że „Michalina Sobisiak, córka Wojciecha i Marii, urodzona w roku 1890, opuściła wieś jeszcze w 1908 roku i odtąd już tam nie powróciła”. Tak zatem wsiąkla w Niewiadome, nie pozostawiając po sobie nic, prócz tej garści wspomnień i bolesnego zdziwienia.

HENRYKA LAZOWERTÓWNA

„KSIĘŻNICZKA”

Nadane dn. 2 lutego przez Radiostację Poznańską słuchowisko Oryginalnego Teatru Wyobraźni pt. *Księżniczka* posiada tematykę charakterystyczną dla upodobań swego autora. Rozmówiony w epoce stansławowskiej i powstańczej, Wasylewski znowu sięgnął do bogatej kolekcji swych ulubionych bohaterów, dawnych „pań polskich”, by z pyłu zapomnienia wydobyć na światło jeszcze jedną — tym razem jednak nie romantyczną „kochankę poetów”, ale ofiarą służebnicę „Sprawy”, krewniaczkę duchową Klaudyny Potockiej i Emilii Platter — księżniczkę Janinę Czetwertyńską.

Postać to bezsprzecznie bardzo interesująca. Utalentowana kompozytorka (uczennica Rossiniego), ulubienica Deotymy i Józefa Korzeniowskiego, gwiazda salonów Napoleona III-go, piosenką i uśmiechem walcząca tam o sukcesy nie tyle towarzyskie co polityczne, ofiarą patriotki, a w okresie powstania styczniowego nawet emisariuszka Rządu Narodowego na Wołyniu, księżniczka Czetwertyńska niewątpliwie zasługuje na wprowadzenie do literatury. Zdawałoby się także, że nikt bardziej niż właśnie Wasylewski nie jest predestynowany, aby nas z nią zapoznać. Formę jednak, w jakiej tym razem pisarz dokonał prezentacji swej bohaterki, należy uznać za wybraną nietrafnie. Wasylewski, niezrównany narrator, nie czuje się dobrze w roli „dramatyzatora”. Słuchowisko jego cechuje pewna fragmentaryczność, poszczególnym scenom brak na ogół nasilenia dramatycznego, indywidualności bohaterów są niedostatecznie uwypuklone. Rzecz szczegółowa: nawet charakter bohaterki zarysowuje się nie tyle poprzez jej własne wypowiedzi, co raczej przez relacje osób trzecich. W ogóle wypowiedziom bohaterów słuchowiska brak piętna realizmu, żywej, ludzkiej „zwyczajności” — porównawiają literacko, trochę nawet papierowo. To, co w książkach Wasylewskiego jest tylko specyficzną cechą jego stylu, owo upodobanie do roli syntetyzującego komentatora, unikanie (prawdopodobnie w imię autentyczności) wszelkiej *oratio recta*, mogącej w sposób bezpośredni scharakteryzować daną postać historyczną — odbiło się ujemnie na słuchowisku, którego forma dramatyczna z natury rzeczy wymaga, aby charakter bohaterów ujawniał się bezpośrednio poprzez ich wypowiedzi. Długoletni nawyk posługiwania się inną formą sprawił, że w ujęciu radiowym rysunek postaci wypadł — jak na Wasylewskiego — nad-

spodziewanie blade, wyjąwszy może jedynie postać Napoleona III-go.

Dużym plusem *Księżniczki* była ilustracja muzyczna, której poszczególne fragmenty zostały umiejętnie wplecione w akcję słuchowiska i dobrze podmalowały jego tło historyczne. Oprócz oryginalnych piosenek księżniczki Czetwertyńskiej i weberowskiej *Pieśni Strzelca*, odśpiewanych starannie i z rzadką dbałością o dykcję, dzięki czemu słuchacze mogli nie uronić znaczenia ani jednego słowa, bardzo na miejscu był też wdzięczny walc z salonów cesarskich, ten nieśmiertelny taniec, który Sacha Guitry w swym ostatnim filmie podnosi do godności „symbolu Drugiego Cesarstwa”.

Aktorzy słuchowiska odegrali swoje role starannie, ale bez specjalnego polotu; być może zresztą, że przychyliło się do tego wspomniane powyżej, nazbyt „sylwetkowe”, potraktowanie postaci przez samego autora. Przypuszczenie to zdawałoby się potwierdzać fakt, że Michał Melina z epizodycznej, ale dobrze postawionej roli Napoleona III-go zdołał wykrzesać więcej, niż jego koleldy z innych ról. Abstrahując jednak od sprawy gry aktorskiej w ścisłym tego słowa znaczeniu, zaznaczyć wypada na marginesie omawianego słuchowiska to, co już niejednokrotnie dało się zauważyć poprzednio: że aktorzy poznający przewyższają na ogół swych kolegów z innych radiostacji (nie wyłączając stolecznej!) radiofonicznością czystych i dźwięcznych głosów i starannością dykcji. O ile pierwszą z tych zalet można zaliczyć do t. zw. „darów wrodzonych”, druga jest na pewno wynikiem specjalnej pieczołowitości i pracy, zasługujących na podkreślenie i... naśladowanie.

W. Ł.

PORANEK ZAGÓRSKIEGO W REDUCIE

W cyklu poranków „Nowa poezja polska”, organizowanych przez Instytut Reduty wespół z Kolem Polonistów S. U. J. P., odbył się też niedzieli poranek poświęcony poezji Jerzego Zagórskiego. Prelekcję o Zagórskim wygłosił Stefan Lichański, charakteryzując jego poezję jako leżącą na linii przecięcia się romantyzmu z nadrealizmem.

Recytowali wiersze Zagórskiego: H. Gallova, H. Łopuszańska i J. Skulski. Recytowali bardzo trafnie, adekwatnie, recytacja dobrze „przylegała” do wierszy; sposób mówienia tych wierszy należy odda-

RUPIECIE I KLEJNOTY

Pięknie powiedział kiedyś Paweł Valéry, że utwór poetycki powinien być jak owoc, który jest przecież pokarmem, choć wydaje się jedynie przysmakiem. Zdanie to można by z powodzeniem zastosować do każdego dzieła literackiego; oznaczałoby ono, że pełnię wartości artystycznej osiąga dzieło wtedy, gdy będąc we wszystkich aspektach integralnym dziełem sztuki, jest równocześnie czynnikiem moralnym, posiadającym zdolność oddziaływania na czytelnika. Tylko w takim wypadku pedagogika uprawiana przez pisarzy nie przynosi ujmy ich powołaniu pisarskiemu. Jeśli na ogół powieściopisarstwa Rodziewiczówny nie zalicza nikt u nas do pierwszej klasy, to właśnie dlatego, że twórczość autorki *Róż panny Róży* obfituje w tendencje moralno-wychowawcze, z góry już założone i kształtujące swymi wymaganiami obróbkę całego tworzywa literackiego. Punktem wyjścia dla Rodziewiczówny nie są stawiane samej sobie postulaty artystyczne, których wynikiem wlotnym (choć przewidzianym) jest określony rezonans społeczny — lecz potrzeby duchowe środowiska, które pisarka pragnie zaspokoić. Ograniczając swą autonomię twórczą, wychodzi ona naprzeciw tym potrzebom.

Dr Kazimierz Józwicki jest głównym bohaterem noweli *Rupiecie*, choć akcja pierwszoplanowa rozgrywa się dopiero po jego śmierci. Reprezentuje on typ podobny do *Silaczki* Zeromskiego: żyje taką samą jak ona, uporezywają, wprost fanatyczną aktywnością; oddaje ludziom swą pracę i życie, nie żądając niczego w zamian. To co osiąga — miłość tych, którym pomagał, których dźwigał w trudnościach, których leczył bezinteresownie — to są owe klejnoty,

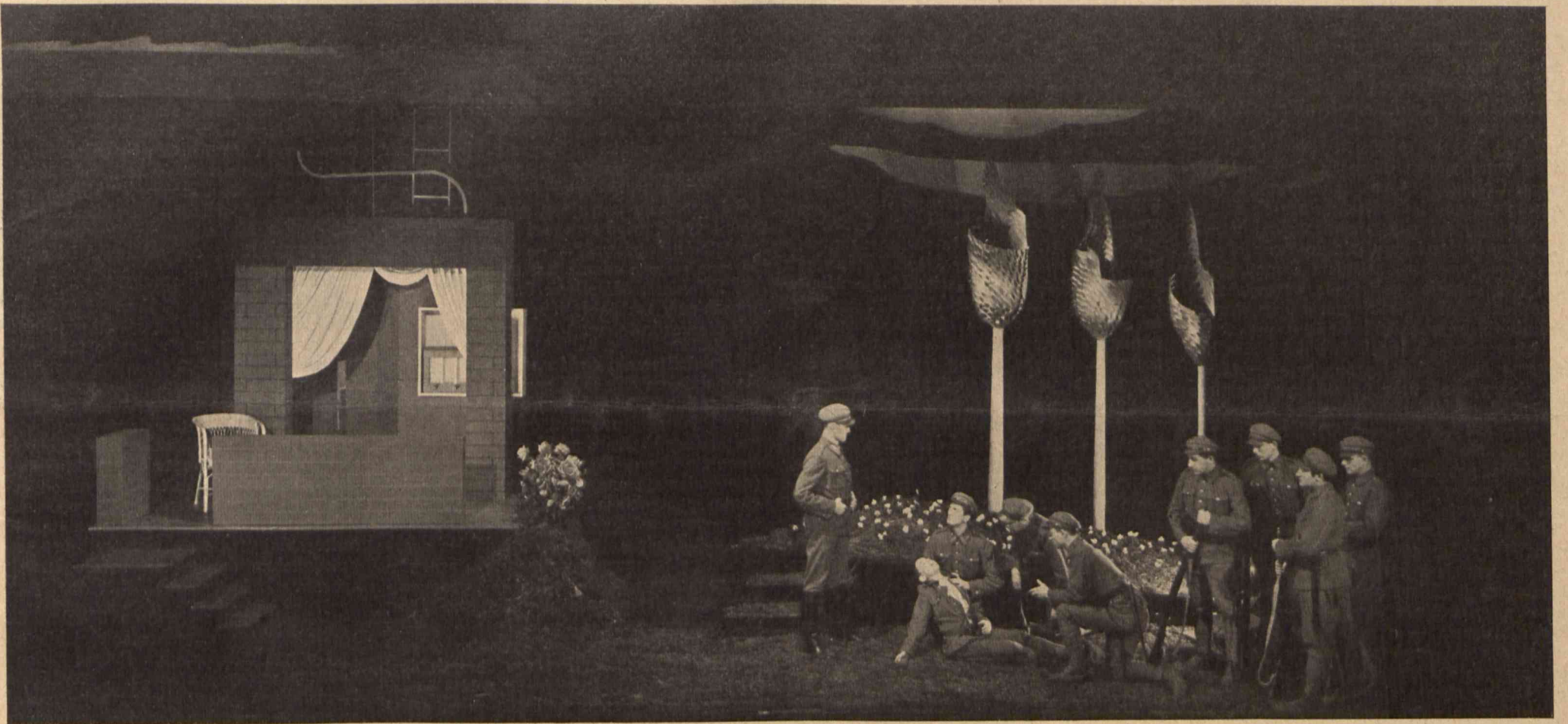
które tak kocha stara matka zmarłego. Blask przez nie rozsiewany spoczywa na całym ubóstwie jego domu, na wszystkich skromnych przedmiotach i pamiątkach, jakie po nim zostały. Adam, brat doktora Kazimierza, milioner i człowiek z „wielkiego świata”, nie dostrzega tego blasku i w smutnym mieszkaniu brata czuje się jak wśród rupieci. Nie ma w tym nic dziwnego: przyzwyczajony do bogactwa, które zdobył łatwo i szybko, nie może cenić bogactw innego rzędu, za które kupuje się miłość, przywiązanie i pamięć ludzi — rzeczy trwalsze niż jego martwe kapitały. Tę zagadkę wyjaśnia mu dopiero postawa matki, która małego, starego domku na zapadłej prowincji nie chce porzucić dla stolicy.

Ten prosty problem moralny, ta koncepcja życia — zdawałoby się, tak już niemodna od czasów *Silaczki* — przybiera u Rodziewiczówny formę prostej i bezpretensjonalnej noweli. Jej długa i dość skomplikowana ekspozycja została włożona przez radiofonizatora w usta speakera. Stanowi to błąd kompozycyjny i były różne sposoby, żeby go uniknąć. Można by np. ową ekspozycję ubrać w formę rozmowy dyrektora Adama Józwickiego z synem, w której młodzieniec — nie wtajemniczony w sprawy rodzinne ojca — zająłby wobec nich własne stanowisko, może nie podobne do stanowiska ojca, lecz właśnie do postawy stryja Kazimierza i babki.

Ciekawym posunięciem radiofonizatora było wprowadzenie monologów do akcji, traktowanej realistycznie. Były to monologi na pół informacyjne a na pół spowiednicze — jak gdyby mówione myśli Adama Józwickiego. W realistycznej oprawie radiofonizacyjnej — rzecz dziwna — wcale te monologi nie raziły. Kodymno, wieś na „końcu świata”, pokazana była w zbyt szablonowym pejzażu akustycznym (wiatr, skrzypienie chłopskiej furmanki, itd.). Rozmowy małych grup uczestników pogrzebu reżyser niedobrze wmontował w całość: dla zaznaczenia, że mikrofon przenosi nas z miejsca na miejsce i pozwala słuchać tu i tam cicho wygłaszanych słów, te krótkie dialogi trzeba było przepleść „obrazem” pogrzebu (śpiewem chóru, ciężkim turkotem karawanu, itp.). Wykonaniu aktorskiemu *Rupieci* można by wiele zarzucić; w ogóle Teatr Wyobraźni rozgłośni w Katowicach powinien bardziej się troszczyć o poziom audycji, które są transmitowane na całą Polskę.

A. R.

ZBIGNIEW POLANOWSKI



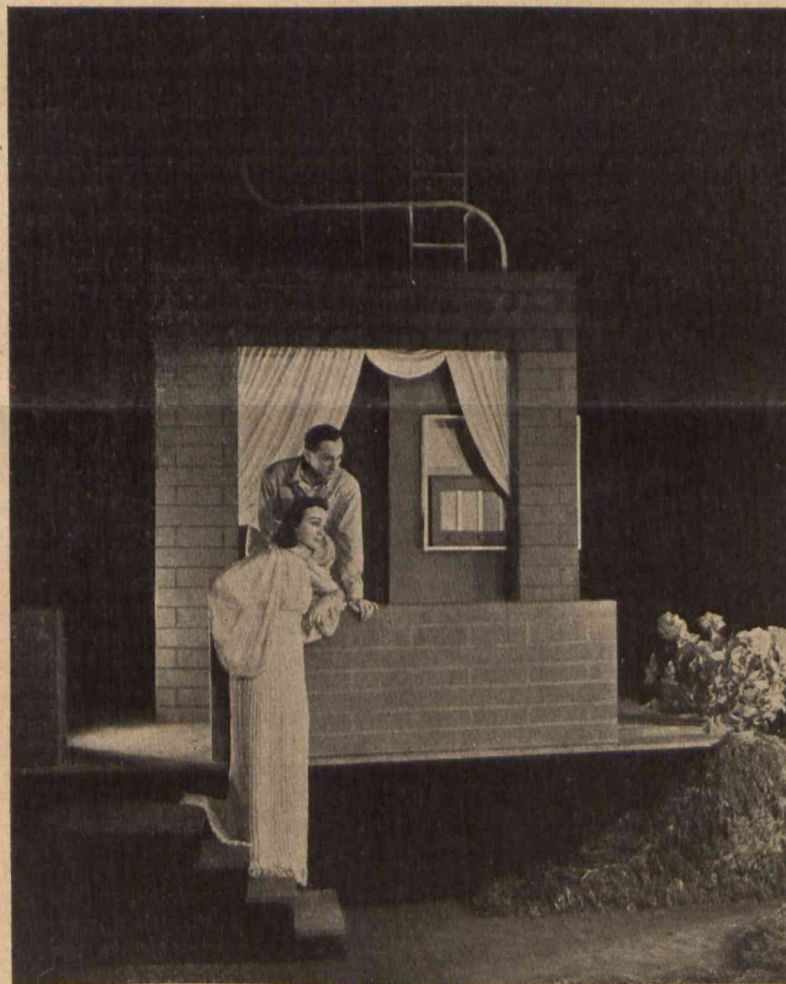
SCENA IV: Śmierć Małego Dobosza

„C Z A S U JUTRZENNEGO”

RZECZ DRAMATYCZNA W 1-YM AKCIE

JÓZEFA CZECHOWICZA

W TEATRZE NOWYM



SCENA V: Maria (T. Paślawska) i Jan (T. Białoszczyński)

INSCENIZACJA:
WILAM HORZYCA

REŻYSERIA:
ALEKSANDER ZELWEROWICZ

ROZPLANOWANIE SCENY I DEKORACJE:
ANDRZEJ PRONASZKO



SCENA IV: Kapitan (J. Skulski), Porucznik (T. Cygler) i żołnierze



SCENA II: Niższy (W. Mirecki) i Wyższy (F. Żukowski)

P R O B L E M Y D N I A

Pierwszy numer tegoroczny lubelskiego miesięcznika *Prąd* przynosi odczyt Ignacego Czumy, wygłoszony na Zjeździe Inteligencji Katolickiej w Lublinie, pt. „Wartość życia wewnętrznego w świecie współczesnym”. Po krótkiej charakterystyce współczesności według wstrząsającej diagnozy Carrela i Förstera, Czuma pisze o zahamowaniu życia wewnętrznego jednostek na skutek działania atrakcyjnej siły organizacyjnej współczesnego świata i przyjęcia doczesności jako kryterium wartości. Zdaniem Czumy, jedynie rehabilitacja roli życia wewnętrznego człowieka zdolna jest na nowo ukształtować moralność i obyczaje, dać miarę sprawiedliwości w rzeczach ludzkich i najszerze horyzonty dla wiedzy i poznania — gdyż życie wewnętrzne uczy cenić przyrodnicze związki i zna dla nich przyczyny dalsze, daje potrzebną miarę w klasyfikowaniu, porządkowaniu i hierarchizowaniu elementów poznania, pozwala lepiej rozwiązywać tajemnice spraw gospodarczych i społecznych, dostarcza najgłębszych wartości i najbardziej podstawowych idei polityce, stanowi najtrwalszy fundament wychowania, wreszcie — wyzwala z kotłowiska cywilizacji urbanistycznej. „Miarą głębokości i powszechności naszego życia wewnętrznego — konkluduje Czuma — określi naszą przyszłość, naszą wartość doczesną i oczywiście nasze przeznaczenie wieczne”. Szkoda że enuncjacja Czumy obraca się w zakresie ścisłych, specyficznych pojęć apologetyki katolickiej, gdyż przez to nie trafi do ludzi, dla których bliska być może sama jej idea, lecz obca terminologia.

Bolesław Wasylewski snuje w *Gazecie Polskiej* (z dn. 1 lutego) rozważania na temat „Kultura i budżet”. Autor nie przeczy, że podnoszenie poziomu kultury umysłowej i artystycznej w Polsce zależy w dużym stopniu od wysokości odpowiednich pozycji w budżecie państwa, które przyjęło obowiązki dawnych mecenasów — z tą różnicą, że twórca dzisiejszy nie pracuje dla protektora, lecz dla ogółu. Potrzeby kulturalne są też w miarę możliwości uwzględniane w budżecie, ale nie powinny one być jedynym środkiem dźwignia kultury. W danej chwili ujawnia się pewna dysproporcja między inwestycjami kulturalnymi i wkładem pracy społecznej, zmierzającej do stworzenia kadr odbiorców dóbr kulturalnych. Nie sam dostęp do tych dóbr jest ważny, lecz w pierwszym rzędzie obudzenie żywej i powszechnej potrzeby korzystania z nich. Społeczeństwo w tym zakresie nie przejawia dostatecznej aktywności; zmęczone jakby przedwojennymi wysiłkami organizacyjnymi, spycha tę sprawę na barki państwa i od niego oczekuje inicjatywy. Taki stan rzeczy jest wysoce niepożądany.

Prof. Adam Heydel publikuje w *Obrońcy Kultury* (Nr 3) artykuł „Etatyzm a wykształcenie”, stanowiący w swej tendencji wypadkową ideologii ekonomicznej autora i jego zainteresowań ogólnokulturalnych. Oto znamienne cytaty: „Brak dostatecznego przyrostu kapitału w Polsce jest przede wszystkim wynikiem przecięcia gospodarki prywatnej nadmiernym brzemieniem gospodarki państwowej. A rozrost tej gospodarki wytwarza zarazem popyt na pracę urzędniczą „klasy A”. I oto w jaki sposób etatyzm wytwarza to wynaturzenie właściwego stosunku ilości kształcącej się młodzieży w szkołach powszechnych, zawodowych i wyższych”. Nie trzeba być ani zacietrzewionym etatystą ani antyetatystą, by zauważyć, jak udanie umiał prof. Heydel upiec dwie pieczenie na jednym rożnie: pogniebić etatyzm i zarazem wytłumaczyć nadprodukcję inteligencji z wyższym wykształceniem. A może raczej odgrywa tu rolę *zagadnienie ambicji*: inteligencja nowa, pochodzenia chłopskiego czy robotniczego, pragnie się poprzez studia wyższe zrównać z inteligencją dziedziczną, dzierżącą monopol na „wolne zawody”; nie mogąc się do zawodów „wyzwolonych” dostać, zasila szeregi biurokracji lub z przymusu odpływa do zawodów innych, które nie wymagają tak wysokich kwalifikacji formalnych. Oczywiście, polityka oświatowa może i musi te sprawy regulować, ale obarczając determinizmem tej winy etatyzm — to hipoteza śmiała i... bardzo subiektywna.

W nie podpisanym artykule redakcyjnym *Obrońcy Kultury* atakuje tendencje totalistyczne w pojmowaniu edukacji narodowej i kultury. Od wychowania monopartyjnego

lepiej już jest rzekomo wielopartyjność, „bo przynajmniej dusza młodzieży sama dawała sobie radę z tą wielorakością”. Istotnie: jakoś dotychczas młodzież daje sobie z nią radę, ale skutki tego są — oplakane.

Jeszcze przed przyznaniem tegorocznej nagrody *Wiadomości Literackich* K. W. Zawodziński ogłosił w *Słowie* (29. I br.) artykuł, w którym zwraca uwagę na przedstawioną do tej nagrody książkę Stanisława Łosia *Hellada na przelomie*. Zdaniem Zawodzińskiego, lektura książki Łosia sprawia, że „Hellada w oczach czytelnika staje się miniaturą Europy, a bieg wypadków współczesnych, napelniających trwogą serce Europejczyka, wyjaśnia się i przybiera kontury dość wyraźne dla nieomylnych proroców, porównany z wypadkami sprzed 2300 lat”. Książka Łosia, jak pisze dalej Zawodziński, „stanowi jedno z arcydzieł historii, pojętej jako rodzaj literacki, nie tylko jako dyscyplina naukowa”. Ton artykułu świadczy, że autor przypisuje wielką doniosłość wyrokowi jury, które działa jako nieoficjalna Akademia Niezależnych („niezależność” jej przejawia się niemal wyłącznie w ekstrawagancji i snobistycznym subiektywizmie, co znalazło wyraz np. w zestawieniu kandydatów do nagrody). Ta „Akademia Niezależnych”, według Zawodzińskiego, „dotychczas bardziej niż oficjalna Akademia Literatury reprezentuje aktualną, w chwili obecnej działającą i sprawującą „rządy dusz” literaturę polską”. Trudno by się z tym zgodzić, a już apodyktyczne rozstrzygnięcie przez Zawodzińskiego, kto ma prawo do tytułu czołowego powieściopisarza swej epoki a kto go nie ma — zakrawa na przykry (i nie tylko towarzyski) nietakt.

Redakcja *Słowa* w notatce, umieszczonej na wstępie artykułu, broni atakowanych przez Zawodzińskiego kandydatów Sergiusza Piaseckiego i Wiecha. Red. Mackiewicz, znany zagończyk i sobiepan publicystyki polskiej, jeszcze raz obwieścił, że ma własne uparte zdanie *w każdej kwestii bez wyjątku*.

W *Prosto z Mostu* (Nr 6) w recenzji z przedstawienia *Pani Bovary* w Teatrze Malickiej można znaleźć takie rewelacyjne zdania: „...rozumieć zaczynamy po trosze, że autorowi tej powieści wytoczono w czasach drugiego cesarstwa proces o obrazę moralności. Ta powieść jest rzeczywiście niemoralna w swym najistotniejszym założeniu, to znaczy w wywoływaniu współzucia dla puszczającej się z nudów prowincjonalnej lwy przy równoczesnym satyrycznym traktowaniu starej pani Bovary, która mówi właśnie rzeczy słuszne i takie, do jakich dziś powracamy: że człowiek bez religii dochodzi zawsze do katastrofy, że życie trzeba wypełniać pracą, itd., itd. To wcale nie jest dziś dla nas śmieszne, jak było dla twórców „reformy seksualnej” od Flauberta do... Boya”.

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że zapatrywania społeczne i polityczne p. Piaseckiego górują zawsze nad uniwersalnymi, aż truistycznymi prawdami kultury — powiedzmy — literackiej; że od obcej, prawie „egzotycznej” Emmy Bovary miłsza mu będzie jej teściowa, taka podobna do naszych rodzimych, „dzielnych”, „szczawio-wych” i „barchanowych” (jak by powie-działa Pawlikowska) pań Dulskich. Nie wiedzieliśmy tylko, że można pisać tak jak p. Piasecki o rzadkim arcydziele, będącym chlubą jednej z najspanialszych literatur świata, o powieści, której artystyczne i *ideo-wo-wychowawcze* walory uznało kilka pokoleń wielkich krytyków i moralistów europejskich. Ano, tak wygląda świat z dzisiejszego Zaścianka Dobrzyńskiego — co prawda, nie tak „poeziewego” i nie tak malowniczo-ego jak tamten, mickiewiczowski...

„O kryzysie teatru” pisze w *Czasie* (Nr 29) Feliks Płazek. „Jeszcze jedna teoretyczna recepta...” — myśli od razu ze zniechęceniem czytelnik; po przeczytaniu artykułu przekonywa się w dodatku, że jest to recepta — znachorska. Samo zjawisko kryzysu teatralnego charakteryzuje Płazek po-bieżnie i powierzchownie. A postulaty? „Materiałem sztuki dramatycznej jest człowiek” — stwierdza autor i za logiczne następstwo tego stwierdzenia uważa tezę, że treścią utworu dramatycznego może być dola człowieka, a każdy konflikt dramatyczny musi mieć podkład o charakterze etycznym. Wszystkie rozsądne tezy Płazka są odkrywaniem Ameryki, inne — stanowią praw-

dziwe niespodzianki, jak np. ta: „Dramat przyszłości będzie musiał zrezygnować z wszelkich odziedziczonych po romantyzmie upiększeń, ozdóbek, nadbudówek, stanąć na twardej opoce realnego życia”. Cóż za rewelacyjna wizja!... Precyzuje ją zdanie Płazka o *Odprawie posłów greckich*: „...chropowate to, niewprawne, ale jak w swej prostocie czarujące, oparte na obserwacji życia, więc świeże i jędrne”. „Chropowate, niewprawne”... — domyślamy się, że tego samego zdania jest autor o *Antygonie* Sofoklesa, *Hamlecie* Szekspira itp. i wieszujemy tak pobłażliwych kryteriów, ale ich nie zazdrościmy.

Dział literacki *Orki na Ugorze* polepsza się z dnia na dzień. W nr-ze 3 znajdujemy tu fragment III tomu powieści o Jasie Kune-fale Piętaka, przekład dwóch wierszy Apollinaire'a, które opublikował niedawno w *Nouvelle Revue Française* André Rouveyre (nie zmieniają one zresztą w niczym wizerunku poetyckiego autora *Alcools*), wreszcie — artykuł Frydego „Spór o Brzozowski”. Fryde nawiązuje do jednej z wypowiedzi polemicznych, wywołanych jego własną rozprawą „Brzozowski jako wychowawca”; autor jej twierdzi, że Brzozowski jest dobrym wychowawcą współczesnej inteligencji polskiej, ponieważ *wzbudza w niej aktywność*. Replika Frydego brzmi: apel Brzozowskiego do inteligencji wydał już w swoim czasie owoce; jeśli jest teraz nadal aktualny, to tylko dlatego, że dzierżąc dziś władzę wyższą biurokracja nie posiada ideału społeczno-kulturalnego, wyrastającego organicznie z potrzeb i aspiracji zbiorowych, a „hasło aktywizmu i dynamizmu stanowi dla niej niezbędny namiastkę idei społecznej”. Nie wiadomo tylko, czy Fryde zdaje sobie sprawę, że taka replika jest co najwyżej wydaniem wyroku potępienia na wyjąłową duchowo inteligencję dzisiejszą, ale nie podważa aktualności roli wychowawczej Brzozowskiego; jeśli uczeń nie dostaje promocji i musi powtórzyć kurs, winę za to nie zawsze ponosi nauczyciel.

Świeży (grudniowy) zeszyt *Wiedzy i Życia* przynosi inny ciekawy artykuł Frydego: „Drogi współczesnej krytyki literackiej”. Zdaniem autora, w polskiej krytyce literackiej dominuje w chwili obecnej kierunek opisowy, który powstał z przemian impresjonizmu młodopolskiego i socjologizmu Brzozowskiego. Krytyka opisowa dzieli się na dwa odłamy: na krytykę personalistyczną (przedmiotem opisu jest tu osobowość twórcy) i formalistyczną (przedmiotem opisu jest samo dzieło). Krytyka opisowa pretenduje do równouprawnienia z nauką o literaturze; Fryde uważa to za próbę u-zurpacji ze strony krytyki, która daje przecież tylko „pojęciowe reprodukcje faktów konkretnych”, natomiast celem nauki — według najnowszych poglądów — jest „budowanie systemów poznawczych”.

Krytyka opisowa operuje sądami orzekającymi (podkreśla cechy po prostu istniejące w dziele) i wartościującymi. W pierwszym wypadku bazą staje się przeżycie *estetyczne*, w drugim — *artystyczne*, zdefiniowane przez prof. Chwistka. Wydawanie sądów wartościujących powołało do życia krytykę esseistyczną, która twórczości przeciwstawia twórczość (jak np. Chesterton) lub przedłuża problematykę dzieła w stronę „życia”, stając się publicystką społeczno-literacką (Boy, Skiński). Irzykowski jako krytyk „z utworu, który ma przed sobą, wydobyla dalsze perspektywy, ujawnia możliwości twórcze, które z niego wynikają i mogą być realizowane w utworach następnych”. Z ducha Irzykowskiego rozwinęła się krytyka awangardowa, spełniająca rolę prekursorki nowych form artystycznych (*Tędy* Peipera). Według końcowych tez Frydego, krytyka nie jest dyscypliną naukową, lecz umiejętnością praktyczną; od badaczy literatury należy odróżnić działaczy literackich, którzy usiłują wpływać na bieżące życie literackie i kierować nim; krytyka uprawiana przez tych działaczy może korzystać z rozmaitych metod, ale obracać się musi zawsze w kręgu *wielkiej publicystyki literackiej* — przykładem takiej „wielkiej publicystyki literackiej” są dla Frydego dzieła Mochnackiego, Stanisława Witkiewicza, niektóre książki Brzozowskiego itp.

Rozprawa Frydego operuje tak niezłomnie konsekwentną i doskonale jednolitą systematyzacją zjawisk, że chwilami wydaje się to aż... podejrzanie. Nawracanie do pew-

nych partii rozprawy uświadamia nam, że autor dopuścił się pewnych symplifikacji, dzięki czemu jego sieć „dróg współczesnej krytyki literackiej” nie posiada ani małych a obfitujących w tajemnice ścieżek, ani zdradliwych manowców; są tu tylko szerokie i wiodące prosto do celu, przyjazne gościńce. Prostota i „czystość” obrazu wynika u Frydego z tendencji do niemal naukowej ścisłości w ujęciu przedmiotu, opartej niestety na zbyt wąskiej bibliografii i erudycji zbyt świeżej daty.

Wiedza i Życie zawiera również pracę Ryszarda Matuszewskiego „O prawie własności intelektualnej”: jest to interesujący, wzorowo i z popularyzatorskim wigorem przeprowadzony wywód teoretycznoprawny; można tylko żałować, że Matuszewski nie uzupełnił go ideologiczną krytyką prawa własności intelektualnej, co byłoby bardzo pożyteczne. Własność intelektualna jest pojęciem nieskończenie młodszym od prawa własności *sensu stricto*, lecz otwiera także dalekie perspektywy i na terenie polityki kulturalnej stanie się wkrótce na pewno przedmiotem doniosłych i długotrwałych sporów.

Ostatni numer *Naszego Wyrazu* dezuwuje pochlebne wyobrażenie, jakie mieliśmy o tym miesięczniku. Jedyną godną odnotowania pozycją stanowi tu artykuł L. M. Rogowskiego „Z mojej samotnej drogi”. Zeszłoroczny laureat państwowej nagrody muzycznej kieruje kilka uszczypliwych uwag pod adresem tych kompozytorów, którzy porzucili system dur-moll i tradycje muzyki wywodzące się od Bacha, potem zaś wysuwają osobisty pogląd na sprawę pierwiastków narodowych w twórczości muzycznej. Zastanawia się m. in. nad tym, jak powinna wyglądać polskość w muzyce, i dzieli się z czytelnikiem własnymi w tej sprawie doświadczeniami. Rogowski odrzuca gamy: „ońską (majorową) i eolską (minorową), gdyż „wyzyskane do niemożliwości przez czterysta lat pracy twórczej na ich podłożu, te dwie gamy nie mają dla nas tajemnic... Kompozytor, używający tego budulca, musi być albo ignorantem świadomym czy bezwiednym, albo wyrzec się własnego języka i mówić obcymi cytatami”. Autor *Symfonii radosnej* i *Zjaw odkrył tajemnice gamy*, którą nazwał słowiańską, i dzięki niej — jak twierdzi — uzyskał rdzenny, bezwzględnie polski charakter swej muzyki.

Tak się jakoś złożyło, że w chwili obecnej, gdy tyle się mówi i pisze o wadze spraw kultury, gdy kultura jest *en vogue* — zaczęła się likwidacja dodatków artystycznych w czasopiśmie codziennych, i to akurat w obozie, który ostatnio te kwestie lansuje. Zamknięto „Kolumnę Literacką” *Kuriera Wileńskiego*, tak żywo przez szereg lat redagowaną przez J. Maślińskiego; zlikwidowano „Apel”, dodatek *Kuriera Porannego*, powołany do życia przed rokiem; obecnie zaś mówi się o skasowaniu w tymże piśmie działu kulturalnego i przekształceniu *Kuriera* w dziennik czysto polityczny i informacyjny.

Równocześnie — paradoksy bardzo znamienne — pisma, zdawałoby się, z dala stojące od spraw sztuki ze względu na swój magazynowy charakter, coraz więcej miejsca poświęcają literaturze i plastyce. I tak np. spotyka się bardzo wartościowe pozycje w poznawskiej *Tęczy*, w krakowskim, tak popularnym tygodniku *Na szerokim świecie*, w magazynie *Zwierciadło*, którego polemika o Żeromskiego wzbudziła szerokie zainteresowanie.

W Rzeczypospolitej — laurowo i ciemno... Paradoksy...

Potrójny (4-5-6) numer pięknie wydawanego przez Towarzystwo Bibliofilów Polskich *Miesięcznika Graficznego* przynosi szereg bardzo ciekawych reprodukcji z zakresu drzeworytnictwa i w ogóle zdobnictwa książkowego, a poza tym — artykuły: St. P. Koczorowskiego „Stanisław Wyspiański, odnowiciel piękna książki polskiej”, St. Szenia „Daniel Chodowiecki i książka”, T. Cieśliewskiego - syna „Konstanty Brandel, drzeworytnik książkowy” i wiele innych. Wydawnictwo typu *Miesięcznika Graficznego* może się w obecnej sytuacji kulturalnej wydawać kwiatem przypiętym do kożucha; ale jest coś budującego w tym zapobiegliwym krzewieniu idei książki, mającej być — nawet jako przedmiot fizyczny — prawdziwym dziełem sztuki.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Kołoniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński